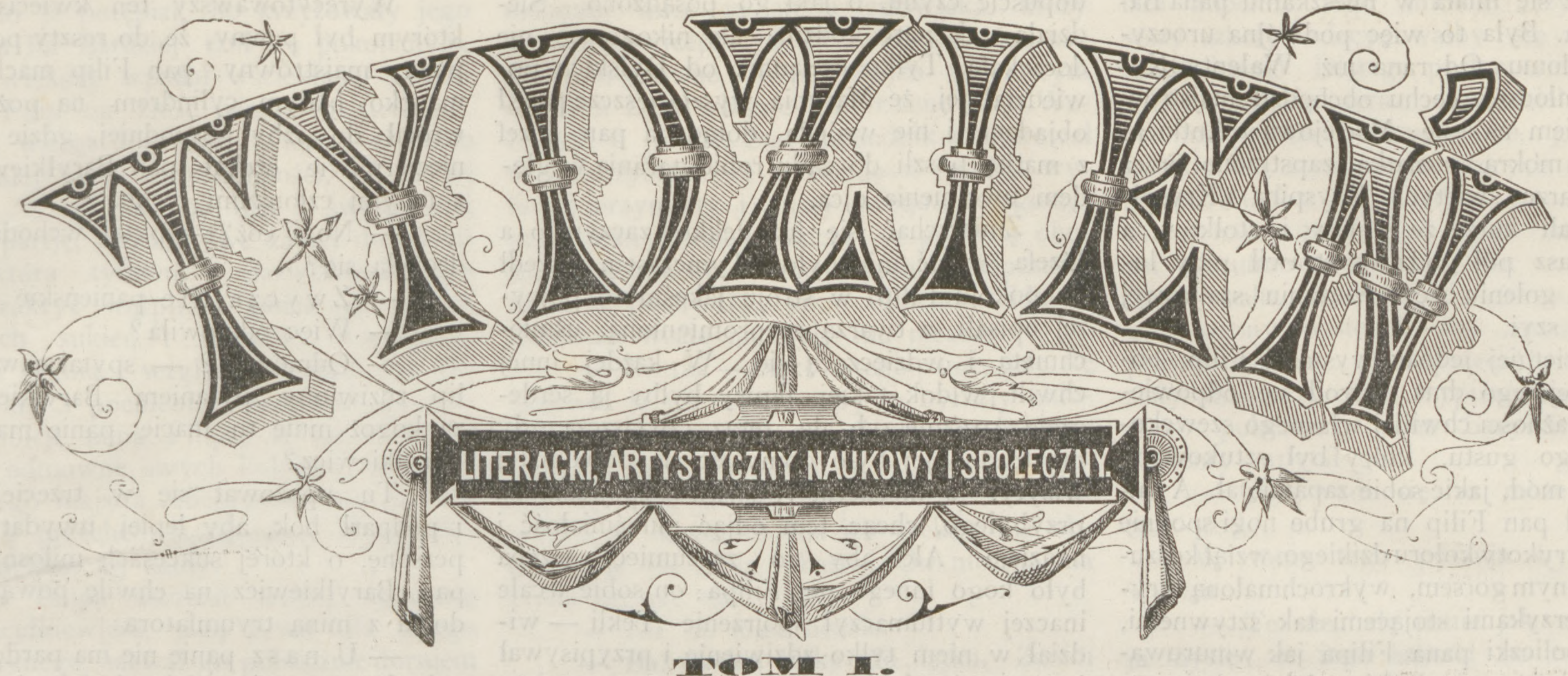
Nr. 16. Lwów, Niedziela dnia 18. Kwietnia 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr

LUŹNE UWAGI.

XVI.

SZTUCZNE WIELKOŚCI.

Kiedy niedawno pisaliśmy na tem miejscu o krytyce niesumiennej, która z miernoty robi często wielkość, nie przeczuwaliśmy nawet, że wkrótce ważne fakta potwierdzą najzupełniej nasze słowa. Nastąpiły one temi dniami.

Profesorem historji na uniwersytecie Jagiellońskim, jest dr. W. Zakrzewski, redaktor wychodzącego w Krakowie „Przeglądu krytycznego,“ który niedawno ocenił dość nieprzychylnie ostatnie dzieło Jarochowskiego. Pan Jarochowski odpowiadając na tę krytykę w „Dzienniku Poznańskim,“ zarzucił i udowodnił p. Zakrzewskiemu, że historji wcale nie umie.

Wkrótce potem p. Z. ogłosił w „Przeglądzie krytycznym,“ że Akademja umiejętności potępiła historjozofję profesora Duchińskiego, chociaż z drugiej strony miała przyznać, że w rzeczonej historjozofji nie mogła rozpatrzeć się należycie, albowiem brakło jej ku temu specjalistów. Wszystkie niemal pisma, a między niemi i nasze, w dobrej wierze powtórzyły to curiosum, robiąc nad niem stosowne uwagi. Członek Akademji i profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Alfred Brandowski, oświadcza teraz w „Przeglądzie etnograficznym“ nr. 3. z d. 5. kwietnia r. b. że całe doniesienie p. Zakrzewskiego było nieprawdziwe, bo jakkolwiek w łonie Akademji dawały się słyszeć głosy przeciwne historjozofji Duchińskiego, to jednakże nikomu przez myśl nawet nie przeszło w czambuł ją potępiać.

Zestawiając oba powyższe fakta, i powołując się na taką znakomitość na polu historycznem jak Jarochowski, którego sąd w tym wypadku najzupełniej podziela, dr. Alfred Brandowski, zarzuca dr. W. Zakrzewskiemu: „niezgodność z samym z sobą w sądzie, oczywiste fałsze, niezwykłą płytkość krytyczną, którą możnaby nawet posądzić o złą wiarę, nieznajomość źródeł dziejowych, jakoteż li eratury historycznej, nieuctwo w wysokim stopniu, a nawet nieuczciwą intencję, jaskrawy brak logiki, blagę, która blichtrem świeci, zupełny brak podstawy krytycznej, nadzwyczajną tępość w pojmowaniu tego, co czyta, niewiadomość całkiem elementarnych rzeczy, wreszcie brak naukowego przygotowania do historji.“

Wobec tak ciężkich zarzutów, dr. Zakrzewskiemu pozostały dwie drogi do wyboru: albo coprędzej udowodni, że umie historję i ma odpowiednie kwalifikacje na profesora uniwersytetu — albo ustąpi ze swojej posady. Innej drogi nie widzimy. Panowie Jarochowski i Brandowski, godząc się w sądzie co do jego zdolności, są w tym wypadku powagą tak imponującą, że zarzutów, które oni podnieśli, profesor uniwersytetu dbający o godność wysokiej instytucji, której jest członkiem, o dobro młodzieży, która do jego wiedzy powinna mieć zaufanie, wreszcie o swój własny honor, żadną miarą lekceważyć nie może.

Co do nas wiemy, jak ta sprawa zakończy się w pierwszej połowie. Oto p. Z. nie zbije zarzutów potężnych swoich przeciwników, gdyż będąc „sztuczną wielkością“ zbić ich nie potrafi. Przypominamy sobie dobrze, że rozprawę jego habilitacyjną o „Reformacji w Polsce“ dr. Zeissberg odrzucił jako całkiem nieudolną, i dopiero później dr. Liske uznał ją za znakomitą. Wystąpienie pp. Jarochowskiego i Brandowskiego, przekonywa nas teraz, że dr. Zeissberg miał niestety rację. Dr. Liske natomiast przyjął rozprawę bądź przez grzeczność, co jest bardzo niesprawiedliwe, bądź przez brak sądu własnego, co jest ubolewania godne.

Krytyki sumiennej domagamy się od wszystkich — od mówców na trybunie parlamentarnej, od dziennikarzy i estetyków — a zapominamy o niej w auli uniwersyteckiej, zkąd prawdziwe światło na cały kraj szerokim strumieniem rozlewać się powinno. Dokąd więc zajdziemy, jeżeli na pierwszych katedrach zasiędą „sztuczne wielkości?“ Czy mamy czekać aż drugi minister austrjacki powie, że „narzecze polskie“ nie jest w stanie nic dobrego wydać? Jeżeli nie chcecie dożyć tego sromu — pamiętajcie o sumienności!

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Na drugi dzień w całej kamienicy nie mówiono o niczem tylko o uwięzieniu Dylskiego i nocnej u niego rewizji. Każdy po swojemu objaśniał ten wypadek i przekręcał a ze wszystkich rozmów przebijała wyraźna nieżyczliwość dla Dylskiego. Nie lubiano go powszechnie, to też nikt nie próbował go bronić ani usprawiedliwiać, nikt nie litował się nad jego losem, a byli tacy, którzy się nawet w duszy cieszyli z tego. Do takich należał Baryłkiewicz. Po wczorajszej rozmowie z córką, uwięzienie Dylskiego było mu na rękę, teraz on tryumfował i znęcając się nad dziewczęciem pytał ją z urąganiem:

— No, cóż, nie odechciało ci się jeszcze zostać panią Dylską, co? Piękny byś była los zrobiła nie ma co mówić, żona syna kryminalisty, śliczny mi honor. Nic innego nie można się było spodziewać po tych ludziach, oni wszyscy źle skończą. To już nasienie takie djabła warte.

Byłby dalej i dłużej w ten sposób mówił, gdyby był znalazł jaki taki opór w córce, ale Teklunia ani jednem słówkiem mu nie przerwała, siedziała smutna i milcząca, zdawała się nawet nie słyszeć tego, co mówił, tak była przygnębiona nieszczęściem, które spotkało Dylskich.

Ojciec inaczej sobie wytłumaczył to milczenie. Był pewnym, że córka podziela jego zapatrywania i dlatego nie silił się na dalsze argumenta, uważając całą sprawę za skończoną; nie wątpił już teraz, że Tekla przyjmie oświadczyny Filipa.

Oświadczyny miały się odbyć, gdy Filip majstrem aktualnym zostanie, a więc zaraz dzisiaj po sesji cechowej, która, jak wie-

my, odbyć się miała w mieszkaniu pana Baryłkiewicza. Była to więc podwójna uroczystość dla domu. Od rana już Walenty Kopeć jako młodszy cechu obchodził majstrów z zaproszeniem na sesję; Maciejowa z Antkiem wycierali mokrą szmatką zapstrzone przez muchy twarze świętych Kryspina i Kryspijana, ścierali kurze ze stołów i stołków, a pan Tomasz pół godziny strawił przy lusterku na goleniu się i wiązaniu szafirowej chustki na szyi.

Najświetniej jednak wystąpił Filip, bohater dzisiejszego dnia, ustroił się odpowiednio do ważności chwili i własnego szewcko-szlacheckiego gustu, który był sztukowany z różnych mód, jakie sobie zapamiętał. A najprzód wbił pan Filip na grube nogi spodnie obcisłe jak trykoty koloru dzikiego, wziął koszulę z haftowanym gorsem, wykrochmaloną kryzą, i kołnierzykami stojącemi tak sztywnemi, że tłuste policzki pana Filipa jak wmurowane w tę obrożę wyglądały; dalej szła jasnozielona krawatka, żółta atłasowa kamizelka w duże kwiaty i lśniący czarny surdut z obcisłemi rękawami i długim stanem. Najbardziej jednak wysadził się solinizant w udekorowaniu głowy a specjalnie rudej czupryny, którą kazał wyczernić, wypomadować, skropić różnemi wonnemi olejkami, zafryzować od frontu w czub stojący, wygolić koło karku i przystrzydz nad uszami. Fryzurą tą i ogromnym złotym łańcuchem od zegarka, na którym śmiało zamiast zegarka można było brytana uwiązać, a który Filip dostał w spuściznie po ś. p. wuju, chciał on zaimponować swoim przyszłym kolegom i uwydatnić swoje szlacheckie pochodzenie, co mu się też rzeczywiście udało. Bo oprócz Antka, który ujrzawszy pana Filipa w takiej paradzie, dusił się i gryzł czapkę ze śmiechu w kącie i na ucho powiedział Maciejowej, że pana Filipa możnaby teraz śmiało pokazywać przy katarynce, otóż oprócz Antka, nieznającego się zresztą na wymysłach mody i elegancji, wszyscy zresztą byli olśnieni a nawet trochę zażenowani tem wystąpieniem kandydata, a pan Baryłkiewicz poglądał z dumą na swego czeladnika i przyszłego zięcia, bo lubo sam trzymał się tradycyjnego stroju szewckiego, długiej kapoty, czapki na bakier i szerokich spodni i radby wszystkich szewców widzieć szanujących takie same zwyczaje, jednak dla Filipa robił pod tym względem ustępstwo przez wzgląd na jego szlacheckie pochodzenie. To mu imponowało.

O trzeciej godzinie otwarto uroczyście ladę, wydobyto księgi cechowe i rozpoczęto sesję.

Przez ten czas Teklunia siedziała w swoim pokoiku przy oknie wychodzącem na podwórko; przed nią leżała otwarta książka do nabożeństwa, modlitwy nieszporne. Nie modliła się jednak, podparła głowę rączką i zamyślona patrzała przed siebie. Często odgłos kroków w sieni lub na schodach budził ją z tego zamyślenia, oczy ożywiały się wtedy i zdawały się wybiegać spojrzeniem na czyjeś spotkanie. Rzeczywiście Teklunia siedziała tu w nadziei, że zobaczy albo Józefa lub jego siostrę i dowie się coś bliższego o dzisiejszem nocnem zajściu, bo nie mogła przypuścić, aby ojciec jego miał się dopuścić czynu, o jaki go posądzono. Siedziała tak parę godzin; ale nikogo się nie doczekała. Tylko czeladnik od Dylskich powiedział jej, że Marynia wyszła jeszcze przed objadem i nie wróciła dotąd, a pan Józef z matką poszli do sądu robić starania względem uwolnienia ojca.

Zmierzchać się już lekko zaczynało a Józefa widać nie było. Tymczasem wszedł do pokoju Filip w stroju jakeśmyto powyżej opisali, z twarzą rozpromienioną, uśmiechniętą i wdzięczącą się. W każdej innej chwili widok takiej figury byłby ją serdecznie rozśmieszył; ale teraz, zwłaszcza gdy nie trudno jej było domyśleć się powodu tej wizyty, z niechęcią i surowo spojrzała na przybyłego, chcąc tem odjąć mu śmiałość i nadzieję. Ale aby to zrozumieć, trzeba było kogo innego nie Filipa; on sobie wcale inaczej wytłumaczył spojrzenie Tekli — widział w niem tylko zdziwienie i przypisywał je wrażeniu, jakie zrobił na niej swoją toaletą a był pewnym, że zadziwienie to spotęguje się, gdy ją objaśni o powodach swego przybycia. Dlatego bez wahania rozpoczął oświadczyny. Zaczął od tego, że zostawszy w tej chwili majstrem kunsztu szewckiego, uważa sobie za h u n o r i powinność złożyć pożegnalne uszanowanie córce swego p r y n c y p a ł a a zarazem wyrazić jej afekt i niezmienne postanowienie swego s y r c a, jako iż chciałby ją prosić o wzajemność i rękę. Oświadczenie to, któreśmy tu w streszczeniu tylko podali, trwało blisko pół godziny; pan Filip chciał się popisać i olśnić, dlatego silił się na wyrażenia, które stały na wysokości jego wypomadowanego czuba i odpowiadały pod względem ozdobności kwiatom na atłasowej kamizelce. Nie szczędził przy tem wyrazów obcych, pochwytanych na wędrówce po warstatach i poprzekręcanych nielitościwie a wszystko to robił dla zaimponowania pannie majstrównie i pokazania jej, z jak niezwykłym człowiekiem ma do czynienia. Mimo to z całej tej długiej oracji Tekla nie byłaby się wcale domyśliła o co mu właściwie chodzi, gdyby nie była wczoraj przez ojca uprzedzoną o intencjach pana Filipa. Wysłuchała więc cierpliwie i w milczeniu jego szumnego oświadczenia, podziękowała mu za honor, jakim ją zaszczycił ale zarazem odpowiedziedziała krótko i stanowczo, aby gdzie indziej zwrócił swoje afekta, gdyż ona nie myśli oddać mu swej ręki. Było to dość jasne, ale pan Filip miał zbyt dobre wyobrażenie o sobie, aby mógł przypuścić, że to jest odmowa na serjo i odpowiedź Tekli uważał jako zwykłe w takich razach panieńskie ceregele i trwając w tem przekonaniu oznajmił jej, że nie żąda zaraz o s t a t n i e g o słowa i daje jej c a s z do n a m y s z ł u.

— Niech panna Tekla nie myśli — rzekł w końcu — co ja taki prostak, abym chciał od razu rzecz kończyć. W chłopskiej kundycji toby uszło, ale my w szlacheckim stanie przyzwyczajeni jesteśmy po kilka miesięcy p a l i ć k u r y do panien i amorom się oddawać. Więc pomimo, że sam jestem żywej t e m p e r a t u r y będę umiał wartować, aż panna Tekla w y p o ś r o d k u j e z siebie dla mnie sentyment odpowiedniej wzajemności.

Wyrecytowawszy ten kwiecisty frazes, którym był pewny, że do reszty podbił serce panny majstrówny, pan Filip machnął szarmancko białym cylindrem na pożegnanie i wrócił do izby gospodniej, gdzie na niego niecierpliwie czekał pan Baryłkiewicz wraz z innymi członkami cechu.

— No i cóż? — spytał wchodzącego — drożyła się?

— Z w y c z a j n i e panieńskie grymasy.

— Więc odmówiła?

— Odmówiła? — spytał nawzajem Filip zdziwiony pytaniem Baryłkiewicza — za kogoż mnie tu macie panie maj — panie Baryłkiewicz?

Tu upozował się w trzeciej pozycji i podparł bok, aby lepiej uwydatnić swoją personę, o której sukcesach miłosnych śmiał pan Baryłkiewicz na chwilę powątpiewać i dodał z miną tryumfatora:

— U n a s z panie nie ma pardonu, żeby s z k a ł a to musi zmięknąć, jak się uwezmę. To już familijne u nas. Wszyszczy Rutkowszczy byli sławni bałamuty.

— No, to chwała Bogu, rzekł Baryłkiewicz, któremu to zapewnienie Filipa zrzuciło kamień z serca, nie sądził bowiem, że Teklunia tak łatwo przystanie, bał się fochów i scen. Uspokojony w tym względzie i kontent, że tak wszystko gładko poszło, oddał się z całą swobodą uczcie i spił się jak bela z uciechy na intencję przyszłego szczęścia swego i Tekluni.

Ale po paru dniach przekonał się, że zawcześnie oddawał się radości, że ani uwięzienie Dylskiego ani formalne oświadczenie się Filipa nie zmieniły w niczem pierwotnego postanowienia córki. Taki zawód wprawił go w niesłychaną pasję, klął, groził, łajał i pił więcej niż zwykle a upiwszy się podwajał groźby i łajanie, ale wszystkie te gwałtowne wybuchy jego rozbijały się o cichy, potulny opór córki. Z poddaniem się i pokorą znosiła gwałtowność ojca, odpowiadała na nią najczęściej milczeniem lub krótkiemi słowami, miękkiemi ale wytrzymałemi jak nitki jedwabiu; w giętkiej jej uległości była siła, której nie mógł podołać pan Baryłkiewicz z całym arsenałem słów grzmiących, strzelających, grzęzły one w jedwabnej matni tej „upartej trusi“, jak nazywał Teklę. Lżył ostatniemi słowy całą rodzinę Dylskich przy każdej sposobności, podnosił zalety swego protegowanego Filipa, zakazywał córce wychodzić z domu, głodem ją nawet morzył i parę razy w przystępie gniewu zamierzył się na nią; ale nic to nie pomogło. Tekla biernym uporem ubezwładniła ojca, gwałtowne jego zamachy były podobne do silnych uderzeń kija po poduszce, męczyły go a nie robiły efektu. Na wrzaskliwe jego zapytania: dlaczego nie chce iść za Filipa odpowiadała spokojnie: że nie czuje dla niego miłości; a gdy ojciec groził jej, że jeżeli nie pójdzie za Filipa, to nie pozwoli jej iść za nikogo, mówiła z łagodnością i słodyczą: to zostanę przy tobie ojcze, jak dotąd. Czy mi to źle tutaj? Czy to koniecznie iść zamąż? Lepiej być starą panną, niż nieszczęśliwą żoną, i ja bym miała wtedy życie zatrute i ty ojcze nie byłbyś zadowolony, bo nie dobrane małżeństwo to piekło domowe. Pan Baryłkiewicz uznawał może w duszy słuszność tych uwag;

ale głośno je potępiał, bo krzyżowały jego projekta a im bardziej czuł się pokonanym, w tym większą wpadał wściekłość. Tymczasem Filip na złość pannie majstrównie, w której wstręt do siebie uwierzył w końcu mimo całej swej zarozumiałości, chcąc jej pokazać, że o nią nie dba i świetniejszą znajdzie partję, zwrócił swe zaloty do jakiejś damy, która tytułem i nazwiskiem męża chciała zakryć wątpliwą genalogję swoich atłasowych sukien i złotych świecidełek. Atłasowa suknia i względy tej pani tak zaimponowały i pochlebiły szewcko szlacheckiej ambicji pana Filipa, że nie zważając na rady odmowne swych kolegów, ani swego dawnego majstra, zdecydował się dać firmę swoją przechodzonym już i wypełzniętym wdziękom tej damy.

Slub Filipa ostudził trochę sympatję pana Baryłkiewicza, jaką żywił dla swego protegowanego, nazwał go publicznie durniem i nie chciał pokazać się na ślubie w kościele, uważając sobie obecność tam za nie honor. Równocześnie zelżał także jego gniew względem córki, a nawet raz w przystępie szczerości wygadał się przed nią, iż miała słuszność, nie chcąc iść za takiego chłystka i głupca, który pojął, lada wietrznicę dlatego, że mu zaszumiała jedwabiami i skompromitował tą żeniaczką stan majsterski. — Za tem poszło, że i o Józefie wyrażał się już nieco ogledniej, a to może głównie z tego powodu, że pomimo niegrzeczności, jakie mu robił przy każdem spotkaniu, zachowywał się Józef względem niego zawsze z jednakową grzecznością i uprzejmością, a szczególniej ujął go sobie tem, że raz idąc razem z wiceprezydentem miasta ukłonił mu się z wielką grzecznością. To pochlebiło dumie pana Baryłkiewicza a zarazem postawiło lepiej w jego oczach Józefa; miał już większy respekt dla człowieka, którego zobaczył w towarzystwie wiceprezydenta. Nie mógł mu tylko tego darować, że jest synem takiego ojca; poczytywał mu to za największy grzech.

— Gdyby ten chłopak miał innego ojca — mówił raz do Walentego, gdy się wieczorem zgadali o Józefie — toby wcale nie zły z niego był człowiek, bo to ułożony, jak się patrzy i zdaje się nie głupi.

— Toście ledwo połowę powiedzieli panie Tomaszu — rzekł Walenty rad ze sposobności wygadania się o Józefie. — Józef bowiem był jego ulubieńcem i po Tekluni był zaraz drugi zapisany w jego sercu, a zapisany tam może właśnie przez wzgląd na Teklunię. Bo stary wiedział dobrze o sympatji, jaka łączyła te dwie młode dusze, był nawet po trochu pośrednikiem między nimi i on to uprzedził Józefa, aby nie narażał się na zły humor pana Baryłkiewicza i na czas jakiś przestał bywać w jego domu.

— Niech się stary wyburzy — mówił — wysapie, to potem będzie lepszy, a teraz to i panna Tekla cierpiałaby za każdą wizytę pańską i panu by to było nieprzyjemnie.

To przewidziane przez Walentego wyburzenie już jak widzieliśmy, przechodziło. Pan Baryłkiewicz pokonany uporem córki powoli zaczął się godzić z tą myślą, że Józef byłby może nie złym mężem dla niej i że dla niego samego nie byłby znowu taki niehonor mieć za zięcia człowieka, który się zna z wiceprezydentem. Począł więc po woli ustępować, a pierwszym ugodowym krokiem była właśnie owa rozmowa z Walentym o Józefie. Stary czeladnik zmiarkował to i korzystając ze sposobności począł wyliczać przymioty i zalety swego protegowanego. Pan Tomasz słuchał z pozorną obojętnością i nachmurzeniem, jednak widocznem było, że pochwały, jakie Walenty oddawał Józefowi, wcale nie były mu niemiłe.

— No tak — rzekł — tego panie, jak się nazywa, ja nie mówię, żeby to był zły chłopak — uchowaj Boże — ale koniec końców biedak i tyle. Choćbym na to mówiąc zgodził się tego, jak się nazywa, żeby Teklunia wyszła za niego, to cóż ich czeka? nie obmawiając — bieda i basta. On nic nie ma i ona nic nie ma.

— Ale on mieć będzie.

— Ba! Czekaj tatka do latka. Zanim słońce wejdzie rosa oczy wyje. Za nim on skończy szkoły, to Teklunia się postarzeje, bo to panny dojrzewają, nieprzymierzając jak lichwa żydowska.

— Nie tak długo trzebaby czekać, jak wam się zdaje. Pan Józef niezadługo będzie miał stanowisko jak się patrzy.

— Może za pieniądze Dawidka.

— Fe, wstydźcie się panie Tomaszu. To się nie godzi tak posądzać ludzi bez przekonania.

— Mówię to, co wszyscy.

— To jeszcze nie racja, że ludzie mówią, bo czegoż ludzie nie powiedzą. Zresztą czy stary Dylski winny czy niewinny — to syna wcale się nie tyczy, bo syn nie odpowiada za ojca. Ja znam dobrze Józia i wiem, że za kradzione pieniądze nie chciałby pewnie zostać bogatym, bo to chłopak honorny i uczciwy.

— Więc cóż mówicie o jakiemś stanowisku, które niby ma mieć niezadługo. Cóż on za stanowisko mieć może, kiedy jeszcze szkół nie skończył, a choć skończy to i tak nie będzie się na czem rozpierać. Zostanie jakim gryzipiórkiem, pożal się Boże i trzeba będzie całe życie biedę klepać. Czy ja to nie wiem, czy mało to takich mamy.

— Słowo w słowo mówił to Józio i dlatego zdecydował się porzucić szkoły, a wziąć się do tego, co mu da pewniejszy kawałek chleba. Po prostu chce się chwycić rzemiosła.

— Rzemiosła? Jakiego rzemiosła? — spytał pan Barydkiewicz ze zdziwieniem.

— Stolarki. Przecież wiecie, że się tego wyuczył przy ojcu.

— No tak, ale tego panie jak się nazywa.

Tu się zatrzymał pan Barydkiewicz i poskrobał w głowę, był w kłopocie, jak wypowiedzieć to, co myślał. Nie mogło mu się bowiem to w głowie pomieścić, jak człowiek, który kończył szkoły, mógł zdecydować się zostać rzemieślnikiem.

Miał on wprawdzie dość wysokie wyobrażenie o stanie rzemieślniczym i tytuł majstra uważał jako nie mały zaszczyt; ale to wyobrażenie nie stosowało się wcale do ludzi wykształconych i stawiając się w położeniu tych ludzi, pan Baryłkiewicz wątpił, czy poprzestałby na tem, co teraz zadowalało zupełnie jego ambicję, czy skończywszy szkoły zdecydowałby się zostać rzemieślnikiem. Dlatego postanowienie Józefa, o którem się teraz dowiedział, obudziło w nim podziw i uszanowanie, jakie się ma zwykle dla czynów, do których nie czujemy się zdolni. I o ile z jednej strony cieszyło go, a nawet pochlebiało jego dumie, że Józef tak umie uszanować stan rzemieślniczy, iż nie waha się wejść do niego, to z drugiej strony postępek ten uważał za nieprawdopodobny. Te sprzeczne uczucia musiały dość czytelnie wypisać się na mięsistych policzkach pana Baryłkiewicza, bo Walenty zapytał go:

— Czy wam się to może nie podoba — co?

W tonie tego pytania był ironiczny wyrzut.

— To nie, ale panie jak się nazywa, ja myślę, że jego szkoda na rzemieślnika. To chłopak już z innemi panie wyobrażeniami, otarty w świecie, jakże mu zostać rzemieślnikiem?

— Toż samo i mnie się zdawało i mówiłem mu to nawet.

— I cóż on na to?

— Hej co on mi nie nagadał na to — to warto było posłuchać, aż serce rosło tak on to ładnie mówił. Powiedział, że właśnie na rzemieślników potrzeba ludzi uczonych, aby się u nas rzemiosła podniosły, że praca uczciwa nie krzywdzi — ale gdzie ja wam mogę powtórzyć, jak on to mówił. Ksiądz by tak nie powiedział.

— Proszę, proszę — mówił pan Baryłkiewicz wpadając w poważne zamyślenie, i w zamyśleniu wstał i chodził dużemi krokami po warstacie. Proszę, proszę, nie myślałem, że to taki dzielny chłopak. Bo to panie lada kto by się na coś podobnego nie odważył. To panie jest nie zwyczajna rzecz.

Tu stanął i zapatrzył się jakby w gwoździe na podłodze; ale zamiast gwoździ widział Józefa w zielonym stolarskim fartuchu, z zawiniętemi rękawami od koszuli i heblem w ręku, i im bardziej wpatrywał się w to widzenie, tem bardziej mu się ono niepodobnem wydawało, aż w końcu obruszył się sam na siebie, że w coś podobnego na chwilę uwierzył, splunął jakby na urok i rzekł:

— Et, głupstwo, ktoby temu uwierzył, fanaberje i kwita. Ot zwyczajnie młody, to mu się roi Bóg wie co po głowie. Ale dziś mu się zachciało, to się jutro odechce i basta.

— Toście się nie poznali na nim panie Tomaszu. Choć on młody, ale rozważny i nic na wiatr nie mówi, jeżeli powiedział, że będzie stolarzem, to można już przysięgnąć za niego. Już on dobrze chodzi za sobą. Wystarał się pono o pożyczkę, zamówił materjał i na nowy rok otworzy warstat.

— Jakto, otworzy warstat? — spytał pan Baryłkiewicz — a gdzie termin, a wędrówka, a majstersztyk?

— Wszystkiego tego nie potrzebuje, zostanie majstrem za patentem.

— Za patentem? Śliczna mi historja. Nie ma co mówić, pięknie zaczyna, tak jak jego godny tatulo, a skończy może także na okradzeniu jakiego żyda lub kogo się da.

*

To już rodem u nich idzie. Ojciec był partaczem, z cechami wciąż zadzierał i trudnił się całe życie fuszerką. I synek nie lepszy. Będzie patentowanym fuszerem. Niech sobie będzie, pal go djabli — ale niech mi nie bałamuci mojej dziewczyny — wara jemu od córki majsterskiej, bo jakem Baryłkiewicz tak mu kości połamię, jeżeliby mi tu się pokazał.

Na myśl, że córka jego mogłaby zostać żoną majstra za patentem, stary wpadł w nieopisaną furję; klął na czem świat stoi, tłukł pięścią po stole, kopał stołki co mu zawadzały w szybkiem chodzeniu po izbie, a wygadywał, co się zmieściło.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Józef Brandt, którego „Obrona Wiednia“ takie zbierała na wystawie wiedeńskiej pochwały — wykonał w r. 1864 trzy ilustracje do „Pacholęcia hetmańskiego“, ale je także w swojej tece więzi.

Ponieważ miałem sposobność oglądania wszystkich trzech, a zasługują na rozpowszechnienie, przeto zaznajamiam z niemi czytelników.

Pierwsza ilustracja wystawia Maruszkę puszczającego sokoła (I. str. 66). Jedzie on na koniu obok wózka, który wiezie pacholę. Krajobraz służący za tło sceny, wóz, konie zaprzęgowe i wierzchowe oddane są wybornie, ale twarze osób są traktowane pobieżnie, nie mają żadnego wyrazu, a ręka Maruszki jest prócz tego anatomicznie fałszywą.

Za to drugiej ilustracji przedstawiającej wyjazd hetmana na wyprawę (I. str. 139) przyklasnąć można. Kompozycja bogata i zjednoczona ku hetmanowi wyjeżdżającemu z bramy; ruch i życie znać między ludźmi wojskowymi i taborem; a te konie! te konie! toć Brandt w nich specjalista.

Na trzeciej ilustracji uchwyconą jest chwila, gdy hetman wita Drużbinę i kozła (I. str. 74). Scena pełna humoru i prawdy, jakkolwiek mniej starannie, zwłaszcza w części pejzażowej, wykonana jak poprzednie.

Jak widzimy „Pacholę hetmańskie“ zyskało w Kossaku, Eljaszu i Brandcie szczęśliwych ilustratorów. Trochę dobrej woli ze strony wszystkich trzech artystów, a sztuka polska mogłaby zyskać nadzwyczaj udatne ilustrowane wydanie Pacholęcia. Nie wątpię ani na chwilę, że chętny wydawca znalazłby się wkrótce; publiczność zaś przyjmie z radością dzieło artystycznie wykończone. Stroni ona tylko od tandety — a do piękna lgnie instynktowo. Jedenaście ilustracyj jest gotowych; wypadłoby dorobić dla skompletowania jedną lub dwie z działu wojennego; a szereg ten ilustracji odtworzony za pomocą dobrego drzeworytu lub miedziorytu, dałby nam dzieło wykonane artystycznie i na wskróś polskie.

Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dillabuntur! — przypominam artystom, dla tego, że ich cenię.

„Pamiętniki Benedykta Winnickiego“ dostarczyły Juliuszowi Kossakowi treści do akwareli przedstawiającej „Ojca z synem pod figurą;“ kiedy to starzec zatrzymuje młodego panicza, gromiąc za nieuchylenie głowy przed bożą męką. Jest to obrazek nader wdzięczny i mówiący; scena żywo wywołana z przeszłości.

„Mohort“ wywołał szereg ilustracyj tegoż samego artysty, już z tego względu uwagi godnych, że w nich postać bohaterska Mohorta przeprowadzona jest jednolicie i typowo. Jest siła, życie, szlachetność i rzeźkość w tym ostatnim kresowym rycerzu odtworzonym przez artystę i wątpię, czy kto drugi takby ją oddać potrafił.

Czy artysta przedstawia „Mohorta w strażnicy,“ czy „Mohort zwiedza mogiłę z księciem Józefem,“ czy znów „Mohort pokazuje swe stado ks. Józefowi“ zawsze widać jednego i tego samego Mohorta, uosobione pojęcie obowiązku i miłości kraju. W obrazach tych nastręczyła się artyście sposobność pokazania całej genjalności, z jaką odtwarzać umie stepy i konie.

„Pani Pupardowa“ i „Kafarek,“ ów sławny trębacz kresowy, są dalszemi ilustracjami Mohorta. Jużto myśliwych i żołnierzy umie odtwarzać Juliusz Kossak jak nikt inny; to też nie dziw, że Kafarek jest skończonym ideałem trębacza, myśliwego i żołnierza, jakkolwiek techniczne wykonanie jest pobieżne i mniej jak w innych akwarelach troskliwe.

Postacie kobiece są słabą stroną talentu Kossaka; a kto widział jego obrazy, ten przyzna, że płeć piękna nie jest na nich wcale piękną. Pod ręką artysty tracą kobiety tę zwinność, elastyczność poruszeń; tę swobodę i wdzięk, jaki jest Polek udziałem. Znam zaledwie dwa lub trzy obrazy artysty, na których postacie kobiece są znośnemi a tylko jedno dzieło, o którem później, przedstawiło z wdziękiem i prawdą nasze Polki. „Pani Pupardowa“ nie należy także do szczęśliwych kreacyj artysty, a jakkolwiek szedł on za opisem poety, nie zrównał mu jednak w przedstawieniu tej wybornej postaci.

Z wszystkich wymienionych ilustracyj Kossaka zdjęte były fotografje.

January Suchodolski, którego „Obrona Częstochowy“ w każdym prawie polskim domu jest znaną, utworzył dwa obrazy olejne; jeden przedstawiający owego „Kafarka“ z poematu Mohort; drugi nazwany „Prezent królewski“ z tegoż poematu, uwidoczniający wręczenie staropolskiego rzędu na konia, Mohortowi. W obydwu tych obrazach jest serdecznie polska dusza, choć w charakterystyce Mohorta nie dorósł artysta poety; a jego Kafarek nie ma tego ducha żołnierskiego i kresowego, jakim go wyposażył Pol i Kossak. Techniczna strona obrazów świadczy o troskliwych studjach nad światłocieniem, a koloryt jest żywy i ujmujący; kompozycja wierna słowom poety aż do drobnostek.

Wypada choć kilkoma słowami zapisać wiadomość, że Brodowskiemu dostarczył Mohort treści do obrazu olejnego, który przedstawia Mohorta w chwili, gdy mu się prezentuje Ksawery Krasicki, dworno do obozu przybyły.

Tenże artysta ilustrował według poematu „Stryjenka“ scenę, gdy Struś zagraża rannemu jeleniowi na polowaniu.

Na tych obrazach niech mi wolno będzie zakończyć tymczasowo ilustracje de poezji Pola; jeżelim jaką opuścił, to z pewnością tylko drugorzędną.

V.

Nie uwierzycie z jakim niesmakiem zaczynam pisać ten rozdział. Muszę w nim mówić o ilustracjach do Malczewskiego „Marji“. Wywołała ona liczny szereg obrazów — ale prawie wszystkie należą do rzędu chybionych.

Jeżeli ilustracje do poezji Mickiewicza przynajmniej się do poezji jego zbliżają, a ilustracje do poematów Pola w większej części zrównały poecie, to ilustracje do Marji — z bardzo małemi wyjątkami — nawet w najdalszem przybliżeniu nie tłumaczą poezji Malczewskiego.

Artyści nasi ilustrują wprawdzie bardzo dobrze sceny poboczne z Marji, ale sceny stanowiące główny przedmiot poematu, wychodzą z pod ich ręki takie zimne, poziome, bez prawdy i wzniosłości, że doprawdy żal bierze pomyśleć, że to być mają tłumaczenia słów poety.

Prześliczna powieść Malczewskiego, zmusza nas patrzeć na stworzone przez niego postacie, jakby na jakiś świat czarów; taką one idealną miarą tworzone, takie wielkie, potężne i urocze jakby fantasmagorje najśmielszego idealisty, marzyciela; a przecież tak nawskróś prawdziwe, że czujesz ich bytność, słyszysz bicie serca, żyjesz razem z niemi. Są to ludzie idealni, a przecież ludzie z krwi i kości: namiętni, dumni, szlachetni, przesądni; źli i potworni, stosownie jak ich musiał ucharakteryzować poeta. Gdzież się podziały te wszystkie przymioty Malczewskiego powieści w ilustracjach? Gdzież w nich szukać pięknej Marji? gdzie wyniosłego, szlachetnego Wacława? gdzie niezrównanego Miecznika? Zaiste, źle się przysłużyli nasi artyści Malczewskiemu, profanując powszednością jego niepowszednie postacie.

Darujecie, że z pomiędzy licznych ilustracyj do Marji wyliczę i ocenię tylko ważniejsze, a obrazy np. Simlera: „Pożegnanie Marji z Wacławem,“ „Miecznik i córka pod lipą,“ do których sam artysta nie przywiązywał wagi — tą krótką wzmianką odprawię.

(C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Ciąg dalszy.)

— Onego czasu — opowiadał Habib*) — żył w Halepie (Aleppo) Achmed-effendi, kupiec bogaty, człek bogobojny i miłosierny, jakich teraz mało na świecie. Dzisiaj wszystko popsuło się! Giaury i djabli obsiedli świat, a prawdziwych muzułmanów nawet w Mecce świętej nie znajdziesz: kara-pampury, telegrafy, wino i bezwstyd pchają prawowiernych na dno Dżehenny.

Aman! widać koniec temu kłamliwemu światu, i dusza Islamu chce powrócic nazad w progi Orfu!

Najpierwszy sklep w bazarze należał do Achmeda-effendego. A czego w nim nie było!.... Wszystko! wszystko, czego tylko dusza człowieka zapragnąć może! Były tam tyftyki, kaszemiry, gazy indyjskie i tyle innych pięknych towarów, że się cały świat do niego zbiegał. Słowem dostatek był wielki, a jak powszechnie wiadomo, i cnota w tym razie nieodstępowała go, bo jak

*) Niniejsze opowiadanie spisałem wiernie za tureckim bajarzem kawiarnianym. Prz. autora

przysłowie powiada: „Dobry staje się wtedy złym gdy bieda do niego zajrzy“. Opływał w dostatkach zacny kupiec, a prócz tego i szczęście kwitnęło w jego domu.

Dusza jego spoczęła za każdym razem na różach i goździkach, ilekroć przestąpił progi swoje. Albowiem jak kryje się wdzięcznie kształtna gazella, tak w haremie jego jaśniała słodka, niby pomarańcza, cnotliwa Aiszd. Była to prawdziwa śmietanka! Nie tak miłym był mu śpiew słowika i szmer wody w czeszmie (studni wytryskowej), jad dźwięczny, pełen sromu i pokory jej głos. Patrząc na jego szczęście, sądziłbyś, że już swój namiot rozbił pod szlachetnemi gałęźmi Tuby (drzewo rajskie).

Lecz na tym świecie „tylko u głupców bywa co dnia bajram“ — mądrych bowiem Allach lubi doświadczać.

Bo oto gdy ludzie nie zazdrościli mu szczęścia dla jego wielkiej bogobojności, za to z pod ziemi zawistnem okiem przyglądał się czarny djabeł temu wszystkiemu, co się działo w domu jego. Nie szczędził też zachodu i pracy, by dostać się do niego. Zapewne stałoby się zadość djabelskiemu pragnieniu, gdyby nie duch świątobliwego szeika, przodka Achmedowego, błogosławiony ewlja (duch opiekun), który dniem i nocą czuwał nad nim nieustannie.

Szatan był tem mocno zmartwiony, gdyż szczęście cudze jest nieszczęściem dla niego. Złość jego bywała przeto tak wielką, że kłami urywał sobie po kawałku ogon i żuł go w paszczy niby kawał przeklętej kiełbasy giaurskiej.

Atoli błogosławiony ewlja stał mocno przy swojem, i zaklął się, że djabeł zje pierwej cały swój ogon, nim dostanie się do domu męża, którego on strzeże.

„Rękę, której uciąć nie możesz, musisz całować“. Jakżeby o tem nie wiedział! Knuł więc spisek nieustannie na spokój bogobojnego kupca, a tymczasem słuchał pokornie rozkazów świętego i sprowadzał ludzi do sklepu, czekając na sposobną chwilę. Kto może zgadnąć, zkąd do nas złe lub dobre przychodzi?

Więcej atoli bywa złego niż dobrego na świecie; a kto chce szkodzić bliźniemu, wnet pomocnika znajdzie.

W tem samem mieście żyła w wielkiej biedzie kodża-kari (baba) Fatma, ze swym synem, głupim Jusufem. Nędza jej była tak dokuczliwą, że się nad nią litowali sami święci. Domek jej, licha lepianka, był podobny do zapadłego grobu, i liczył tyle dziur na dachu, ile ich bywa na szacie derwisza-żebraka. Palca mogłeś ugryźć u niej w domu ale nie chleba! Najczęściej też siedziała nieboga o chłodzie i głodzie, trując się czarnemi myślami. Fatma była stara a Jusuf głupi, — któż tu biedzie da radę? A tam gdzie bieda, wiadomo, że i djabeł najlepiej lubi zaglądać.

Właśnie nadchodził kurban-bajram, w którym to dniu, każdy prawowierny, dla spełnienia świętej ofiary, musi wdziać na siebie jaki taki przyodziewek nowy. Fatma wydobyła swoje rupiecie i zaczęła się im przypatrywać; lecz zaledwo wzrok jej padł na podziurawiony „czarczaf“, który ze starości w kawały popadał i nie był do naprawienia, załamała ręce i łkając głośno zawołała:

— Waj, waj! biadaż mej biednej głowie! któż mi dopomoże? Ścisnęła się dusza (zamiast serce) moja z wielkiej boleści! Widać że całkiem u Ałłacha straciłam łaskę, a nawet żaden dżin (gienjusz) nie chce zaopiekować się opuszczoną staruchą. Aman! biednej wdowie, aman! sierocie. Kiedyż nastąpi koniec mej niedoli i Iblis zadmuchnie wypłakane oczy moje?...

Ale zaledwo ostatnie słowa domawiała, dał się słyszeć szmer w izbie i zapach siarki rozniósł się w powietrzu. Głupiego Jusufa nie było w domu, tem straszniej więc zrobiło się samotnej. Na raz całkiem struchlała, bo przed jej wzrokiem ukazał się szatan w kusym frenckim stroju, właśnie ten sam, co czatował na Achmeda-effendego. Kusiciel zaśmiał się wesoło, siadł na poduszce i niby prawowierny, przywitał mocnym głosem:

— Selam alejkum!

— Merhaba! *) — wyrwało się mimowoli Fatmie z ust.

— Jakże twe zdrowie duszko-jagniątko? Zdajesz mi się być nie zupełnie wesołą?

— A jakże mam być wesołą, kiedy nawet odziać się na kurban-bajram nie będę miała za co!

— Maszalla! sułtanko, słysząc co mówisz, ktoby pomyślał, że cały świat tak zły jak wy ludzie. Ale gdzie tam! Oto w dobrą godzinę odezwałaś się ze słowem. Bo wierzaj mi, że my, djabli, mamy najczulsze serca, pomimo wszystkiego co o nas prawią imamy i podżowie. Na dowód oświadczam ci, że postanowiłem dopomódz twej biedzie, całkiem bezinteresownie. Wałła! wszystko darmo zrobię, a nawet dopomogę do zbawienia duszy twojej, tylko zaufaj mi zupełnie....

Fatma słysząc tak grzeczne słowa z ust czarnego gościa, całkiem ochłonęła ze strachu i poczęła rozwodzić przed nim swoje żale:

— Szejtan-effendi! jeśli myślisz mi dopomódz i do zbawienia duszy, niezawodnie musisz być dobrym prawowiernym. Dla czegóżbym miała ci nie ufać? Haj, haj! czy patrzy na to wszystko mój śp. Hassan-aga, który wszystkie klejnoty z całego świata dla mnie znosił....

— Uważaj duszko! Hassan, jako prawowierny, je teraz kiebab z Nuna i Belama**) i nie zechce na ziemię schodzić; ale za to ja go zastąpię, i choć nie wszystkie klejnoty, to ci z pewnością dwa najpiękniejsze czarczafy jedwabne przyrzekam, a nadto dopomogę ci szczęśliwie przejść przez Al-Syrat, tylko musisz mi dopomódz do zbawienia jeszcze dwóch dusz. Zapewne zechcesz wiedzieć, w jaki to sposób nastąpi? Słuszną jest twoja ciekawość. Muszę ci tedy odkryć, że równie a może i więcej, jak wielka bieda tak i wielkie szczęście prowadzą na dno Sakaru***). Mam ja w tutejszem mieście wielkiego przyjaciela, a nawet krewniaka, Achmeda-effendego, co to ma za sobą Aiszę; otóż spokój i dostatek, jakie ich otaczają, są wielce dla nich zgubnemi. Postanowiłem wydobyć ich przeto z niebezpieczeństwa, ale do tego trzeba, aby się pokłócili w przeciągu trzech dni. Czy chcesz mi pomódz w ten sposób, by jedno z nich dostało się do więzienia?

— Jakżebym nie miała dopomódz. Mówisz przecie jak derwisz kaznodzieja. Ale widzisz, ciężka to sprawa — Achmed-effendi bowiem jest wielkim człowiekiem, niby słoń, a ja maluczką istotą w porównaniu z nim, niby mrówka. Wszak ty sam effendi nie możesz tego dokazać?

Djabeł na to poprawił rogów na głowie, zyzem zerknął na starą i zaśmiał się.

*) Odpowiedź religijna na powitanie muzułmańskie.
**) Nun — ryba rajska.
***) Sakar — przepaść piekielna.

— A znasz duszko przysłowie — odparł — które powiada: „że gdy głupi targ psuje, rozumny zawsze go dobije?“ Nie wymagaj więcej albowiem nie pozwolono mi dawać nad to, co obiecałem. Powiadam ci tylko, że czarczafy będą tak piękne, jakich nawet sułtanki padyszacha nie mają. Czy zgoda?

— No, jeśli masz ich zaprowadzić do raju muszę przyjąć choć taką zapłatę. Pamiętaj tylko abyś rzetelnie umowy dostrzymał!

— Bądź spokojna pieszczotko! na dowód mej rzetelności, zostawiam ci skrypt. — Tu zamiast pióra zatemperował pazur i drapnął nim po ścianie; ta się rozwarła i natychmiast za nim zamknęła.

Znikł djabeł, ale Fatma ciągle jeszcze słuchała. Nareszcie po przestanku, gdy wszędzie cicho było, przemówiła sama do siebie:

— Na! — i tu wypięła dłoń ku ścianie, za którą gość przepadł — ba, ba, ba! powiadają, żeś bardzo rozumny, ale jak widzę teraz, nie masz nawet tyle rozumu, co pisarz z naszej ulicy, który nie zapomina nigdy o tem, że na umowie obie strony pieczątki swoje przykładają... (pieczęć na Wschodzie służy zamiast podpisu).

Tu prędko zerwawszy się z siedzenia, narzuciła na siebie najwięcej podziurawiony czarczaf, wzięła do ręki kostur i postukując nim szybko wyniosła się na ulicę. Niezwykły pospiech z jakim szła, zwracał na nią wszystkich uwagę. Psy nawet ze sąsiedniego śmietnika popodnosiły głowy i śledziły ją wzrokiem, a sąsiadki powtykały nosy w kafesy (kraty okienne w haremach) i głośno wołały:

— Co się stało takiego? Czy kto umiera? Duszko! co słychać?

Ale Fatma tymczasem żadnej nie odpowiadała, i postukując po bruku kosturem szła ku bazarowi. Wkrótce zadyszana zatrzymała się przed dukianem Achmeda-effendego.

Szczęśliwy człowiek właśnie w tej chwili skończył palić nargile i ustawiał je ostrożnie na półeczce przy wystawie, obwiązawszy zgrabnie czerwonym cybuchem; następnie poprawił poduszek i zajął się liczeniem ziarn różańca aloesowego, by nie grzeszyć myśleniem. Liczył zapewne, ile czasu pozostało do Ewle, (południowa modlitwa) pory, w której zwykł był powracać do domu, dla posiłku i wypoczynku przy miłej żonie. Rozpromieniona jego twarz jaśniała szczęściem podróżnego, stojącego u kresu podróży, a obrazy jeden piękniejszy od drugiego przesuwały się przed wzrokiem jego duszy.

Fatma jakby na to umyślnie czekała, gdyż wpadając do sklepu, głośno zawołała:

— Aman! effendi — litości sułtanie! Ratuj sierotę, nie daj zginąć twej niewolnicy! — i tu padła na kolana, chwytając ręką koniec jego szaty.

Effendi wzruszony nagłym wykrzyknikiem boleści, opuścił różaniec i począł uspokajać jęczącą.

— Bóg z tobą, co ci jest kobieto? Wstań i uspokój się! Mów czego żądasz odemnie? a o ile to będzie w mojej mocy, postaram ci się dopomódz.

— Oj! a któż mi pomoże, jeśli i ty odmówisz, sułtanie?

Fatma podniosła się z ziemi, poprawiła czarczaf na sobie, aby lepiej dziury na nim były widne, i jęła opowiadać. Nigdy koła giaurskiego pampura (parostatku) tak szybko nie obracają się, jak latał w jej gębie język. Plotła niby na-

-jęta tak, że żaden karagiöz nie powtydziłby się jej powieści. Mówiła, że ma syna ladaco, wielkiego hultaja i birbanta, który jest tak bezwstydny, że w rodzicielskim domu daje schadzki swojej kochance; ale niedość tego, bo oto domaga się dla niej nowego czarczafu, a jeśli mu go kupić nie ma za co, bije ją starą bez miłosierdzia.

— Ałłach! Ałłach! dobry prawowierny psa tak nie traktuje, jak ten bezwstydnik swoją matkę! — zakończyła szlochając i jęcząc przebiegła starucha.

Zdrożne te słowa, obłokiem smutku okryły twarz bogobojnego człowieka. Z ust jego, niby namaszczonych wonnym olejkiem różanym, popłynęły czystym zdrojem słowa pociechy i nie długo namyślając się, sięgnął do pólki, a wydobywszy z niej piękny czarczaf, oddał go Fatmie. Wiedział on bowiem: „że kto daje ubogim — daje Bogu“.

Błogosławiła i prześlicznie dziękowała swemu dobroczyńcy stara Fatma; biały czarczaf atoli nie wybielił jej zamiarów.

Zaledwo dostała go do rąk i porównała w myśli do owych czarczafów cudownych, obiecanych przez djabła, postanowiła iść daiej czarną drogą. Zadzwoniwszy tedy kosturem i włócząc papucie po bruku, szybko posunęła w ulicę przy której stał koak Achmenda-effendego. Biegła, a ucha pilnie nastawiała, rychło-li wrzaśnie pierwszy muezzin na „ewle“.

Widząc ten pospiech prawowierni, powtarzali, jak wielkiem musi być jej nabożeństwo i porównywali ją z bezbożnością młodych, którzy gotowi wkrótce wyprzeć się wiary ojców i zostać Frenkami. Rozbrzmiały nareszcie w powietrzu pierwsze słowa modlitwy: — „Bóg wielki“. Fatma stanęła już przed domem swego dobrodzieja i zapukała pośpiesznie do bramy.

Na stuk wybiegła cicha, niby gołąb biały, wstydliwa hanym Aisza, a wyjrzawszy przez kratkę, słowiczym głosem zapytała, czego żąda.

— Aman! duszko hanym, pachnąca różo w ogrodzie prawowiernego — odpowiedziała Fatma — oto zawlokłam się za daleko od mego domu, a tu tymczasem jak widzisz pora nadeszła namazu. Starzy, bliscy grobu, powinniśmy ściśle przestrzegać przepisu Proroka, przeto zmiłuj się, i pozwól mi odprawić obrzęd pod twoim dachem.

— Bujrum! bujrum! (bardzo proszę) kodża kari — rzekła Aisza — od miodu są słodsze słowa twoje, a dom mój stoi przed tobą otworem. Czyż godziłoby się nie uznać tak wielkiej bogobojności i grzeczności jak twoja?

Tu otwarła bramę i wpuściła Fatmę, która przywitała ją zwykłem pozdrowieniem muzułmańskiem, jakby szczęście i spokój przynosiła ze sobą do domu. Hanym poprowadziła ją na górę do haremliku.

A gdy stanęły obie przed drzwiami haremowemi, zdjęły z nóg obuwie, jak zwyczaj nakazuje, i postawiły je przed progiem, by nie narazić wstydu niewieściego.*) Piękniejszą i droższą albowiem bywa wstydliwość u muzułmanki, nad woń aloesu albo blask djamentów — a huryski w raju nie znają prócz niej innego stroju. Bogobojna gospodyni, nie czekając, podała gościowi błyszczący dzbanek do umycia się i złotem dziergany ręcznik, poczem polała ciepłą wodą jej ręce i nogi. Skończywszy zaś „abdest“ (umywanie), zaprowadziła ją do komnaty modlitw i wskazała miejsce na mężowskim kilimie.

Modliły się kobiety z wielką gorliwością, zupełnie jakby jedna drugą chciała prześcignąć w nabożeństwie: nie szczędząc się oddawały „rekjaty“ (pokłony) i często klękały, a o ziemię twardą czołem uderzały. Pokora bowiem najwięcej Ałłachowi się podoba w kobiecie. Młoda jak zwykle pierwej skończyła pacierz i zabierała się opuścić komnatę, kiedy stara zdawała się swój pomalutku domawiać.

Nie święte słowa modlitwy atoli wstrzymywały Fatmę, lecz chęć wykonania tego, co ją tutaj sprowadziło!

A zaledwo upadła kotara za wychodzącą Aiszą, szybko wydobyła z zanadrza czarczaf, który dostała w prezencie od Achmuda-effendego, i wsunąwszy go pod klęcznik, opuściła prędko dom, zaledwo pożegnawszy i nadpiwszy odrobinę kawy, którą jej jako gościowi ofiarowano.

Jak czarny kawał nocy przemknęła w oknie szydercza twarz szatana i mroźny oddech smutku zionął w komnatę. Zły tryumfował, albowiem błogosławiony Ewlja, pewien swej władzy, opuścił na chwilę przedmiot swej opieki, mając potrzebę przypatrzenia się służbie Ałłacha, oddawanej po rozmaitych „dżamiach“ (meczetach). A zanim powrócił do domu, nadszedł Achmud-effendi i udał się do komnaty na nabożeństwo.

Bogobojny człowiek, wszedłszy do niej, stanął boso na kraju kilima, twarzą w stronę „kieble“ (ku Mecce) i złożywszy na krzyż ręce, począł zasyłać gorące modły. Korzył się i dziękował Ałłachowi, a słowa jego modlitwy niby strzały pierzaste strzelały w niebo.

— Ałłach! Ałłach! — powiadał — tyle szczęścia mam w domu, tyle wzorzystych towarów zalega w mym dukianie, i koń mój biały jest najpiękniejszym w mieście, mam ja dosyć złota w mym skarbcu, a święty ewlja domu mego nie opuszcza! O! dzięki Ci, dzięki Panie i Tobie święty Proroku! — tutaj padł na kolana, by czołem dotknąwszy ziemi, ukorzyć się przed dawcą swego szczęścia.

Bójmy się Ałłacha, ponieważ wiedzieć nie możemy, kiedy ręka jego sprawiedliwa zechce nas doświadczyć. (C. d. n.)

*) Gdy kobieta muzułmańska zostawia trzewiki przed progiem haremu, jest to znakiem, że ma gości u siebie, a wtedy nie wolno wchodzić nawet gospodarzowi domu.

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Nie inny mają początek barwy baniek mydlanych; tu punktem wyjścia fal świetlnych, są dwie powierzchnie graniczne cienkiej błonki, które obie odbijają światło; różnicą punktów wyjścia promieni jest tu grubość błonki, a z jej grubością zmienia się i rodzaj barw. Podobnież barwy przedstawiają w ogóle cienkie tafelki, a całe to zjawisko znanem jest pod nazwą pierścieni barwnych Newtona. Tu należą barwy łusk rybich, barwy naleciałe na stali, polegające na powstawaniu na jej powierzchni cienkiej warstwy tlenku żelaza, barwy Nobilego (galwano-chromija), powstające w skutek osadzenia drogą galwaniczną niesłychanie cienkiego osadu na wyrobach metalicznych, i t. d. Jeżeli bańkę mydlaną obserwujemy nie w świetle białem, złożonem, alę w świetle jednorodnem, n. p. czerwonem, to obrazy barwne giną i pozostają tylko smugi ciemne i czerwone, — mamy tu przed sobą zjawisko interferencji w barwie jednorodnej, — światło w niektórych miejscach ginie zupełnie. Jeżeli pierścienie barwne Newtona rozważamy w tafelkach przezroczystych, które można rozpatrywać z obu stron, to z jednej strony widzimy barwy utworzone przez światło odbite, z drugiej barwy powstające ze światła, przez tafelkę przechodzącego; to ostatnie powstaje z barw, które nie zostały przez tafelkę odbite, są zatem względem nich dopełniające.

Błękit niebieski, według wyjaśnienia Clausiusa 1849 r., powstaje także z barw cienkich tafelek. W powietrzu mianowicie unosi się zawsze znaczna ilość pary wodnej w postaci mgły, t. j. w postaci drobnych pęcherzyków wodnych, o błonie niesłychanie cienkiej. Światło odbija się od powierzchni przedniej i tylnej tych błonek i te promienie między sobą interferują. Gdy pęcherzyki te bardzo drobne, różnica tych promieni wynosić może całą długość fal krótszych, t. j. niebieskich i fijoletowych, które tym sposobem się wzmacniają, gdy promienie o falach dłuższych — czerwone i żółte się znoszą, wtedy niebo, a raczej atmosfera przybiera barwę błękitną; gdy pęcherzyki stają się większe, promienie czerwone i żółte mogą się również wzmacniać, a wtedy niebo staje się więcej białawem. Tak niebo staje się bledszem, gdy ilość wilgoci zawartej w powietrzu staje się większą; tak żywy błękit gorących stron południowych, który wywołuje zachwyt podróżnych, staje się coraz więcej białawym w miarę posuwania się ku północy, a w stronach bliższych bieguna przechodzi w barwę żelazno-białą, lub szarawą. Gdy słońce znajduje się blisko poziomu, przy wschodzie lub zachodzie, zyskują przewagę promienie przechodzące przez atmosferę, które będą dopełniającemi do poprzednio opowiedzianych błękitnych, powstających przez odbicie światła rozproszonego, dziennego, od pęcherzyków mgły; niebo przedstawia się wtedy w barwie dopełniającej do błękitnej, mniej więcej pomarańczowej, — co wywołuje zjawisko zorzy i zmierzchu. O wszystkich tych szczegółach możemy tylko napomknąć — dla należytego ich zrozumienia, powtarzamy, trzebaby się uciec do języka matematycznego.

Z barwą nieba zostają w ogóle w związku barwy mętnych środków, to jest ciał przezroczystych, przepełnionych niesłychanie drobnemi cząstkami innych przezroczystych substancyj, a które stosownie do oświetlenia przedstawiają rozmaite zabarwienie. Mętne takie środki, jeżeli je widzimy w świetle odbitem od ciemnego tła, przedstawiają się w ogóle błękitnemi lub niebieskawemi, jeżeli zaś przez nie spoglądamy na światło, okazują się żótemi lub czerwonemi. Zjawisko to po części uważał już Arystoteles, dokładniej obserwował je Leonardo da Vinci w dziele swojem o malarstwie (1651). Göthe nazwał je zjawiskiem zasadniczem i na tem oparł naukę swą o barwach, której poglądy teoretyczne utrzymać się nie mogły. Do mętnych środków zaliczył Goethe powietrze, mgłę, dym, wodę rozpryśniętą, wodę morską, opal, szkło opalowe i t. d. Nie każdy jednak mętny środek przedstawia zjawisko zasadnicze Goethego, tak n. p. słońce przez szkło matowe lub niektóre mgły nie wydaje się czerwonawem, a białawem. Goethe nie zdołał tych szczegółów wytłumaczyć za pomocą swej teorji; dokonał tego dopiero Brücke (1852), który dowodnie wykazał, że właściwe działania mętnych

środków polegają na interferencji światła a rozmaitość ich polega na różnych wymiarach drobnych, mącących cząsteczek. Toż samo może mieć miejsce i w tkankach organicznych, dla tego przeświecająca tęczówka oka przed czarnym barwnikiem czyli pigmentem oka wydaje się błękitną, a w podobny sposób tłumaczy się i błękit żył u osób, których skóra jest dostatecznie cienką.

Także i zmienność barwy u kameleona, o którym tyle krąży bajek, podług badań Bruckego wychodzi na to, że osobliwa ta jaszczurka posiada czarny barwnik po za środkiem mętnym, oświecanym przez światło dzienne. Mętny ten środek składa się z barwnika żółtego lub białego, rzadko pomarańczowego, mieszczącego się w głębszych warstwach skóry. Przez kurczenie niektórych mięśni może zwierzę czarny pigment tak zbliżać ku skórze, że ten się umieszcza między barwnikiem jasnym lub też za nim, przez co jak w tęczówce powstaje barwa błękitna, która przechodzi więcej w fijoletową, gdy barwnik biały rozpościera się w cienkiej warstwie, a staje się zieloną, gdy górny barwnik jest żółtym; gdy zwierzę usuwa barwnik czarny, wydaje się białem. Barwy jaszczurek, węży, żab, mają także źródło w interferencji światła na niektórych miejscach ciała.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział VI.

(Ciąg dalszy).

(Inwentarz rozbitków. — Zgoła nic. — Kawałek płótna spalonego. — Wycieczka do lasu. — Roślinność w lesie. — Polowanie na „jakamara.“ — Ślady dzikich zwierząt. — „Kurukusy.“ — „Tetrasy.“ — Osobliwszy połów wydr.)

Podamy teraz dokładny spis przedmiotów, jakie posiadali nasi rozbitki napowietrzni, wyrzuceni na ziemię, jak się zdawało, niezamieszkaną przez ludzi.

Oto nie posiadali nic zgoła, oprócz sukien, które mieli na sobie w chwili ostatecznej katastrofy. Musimy jednak wspomnieć także o notatkach i o zegarku, które Gedeon Spilett zapewne przez zapomnienie przy sobie zostawił, ale zato ani kawałka broni, ani narzędzia żadnego, ani scyzoryka nawet! Wszystko wyrzucili byli z łódki, ażeby ulżyć balonowi.

Fantastyczni bohaterowie Daniela Foe lub Wyss'a, tudzież owi Selkirk'owie i Raynale, rozbitki z pod Juan Fernandez lub z archipelegu Aucklandzkiego, nigdy podobnie ze wszystkiego nie byli ogołoceni. Zawsze albo ze swojego okrętu, który osiadał na mieliźnie, czerpali zapasy w zbożu, bydle, narzędziach i broni, albo też z rozbitego gdzieś okrętu przypływały do nich rzeczy, któremi mogli zaspokoić pierwsze życia potrzeby. Nigdy nie stawali od pierwszej zaraz chwili bezbronnie wśród dzikiej przyrody. Nasi rozbitki nie posiadali ani narzędzia ani sprzętu żadnego. Z niczego musieli przyjść do wszystkiego!

Jeszcze gdyby Cyrus Smith był przy nich, gdyby w tem smutnem położeniu mógł był swe wiadomości praktyczne, swą zmyślność wrodzoną spożytkować dla ich dobra, możeby jeszcze nie znikła była wszelka nadzieja. Ale niestety! Cyrus zginął dla nich bezpowrotnie. Rozbitki nasi nie mogli liczyć na nikogo, tylko na siebie samych i na Opatrzność, która nie opuszcza nigdy tych, co Jej szczerze ufają.

Przedewszystkiem zachodziło pytanie: czy mieli osiąść w tej stronie wybrzeża, nie wybadawszy wpierw do jakiego rodzaju ziemi ono należało, czy ziemia ta była zamieszkała, lub czy to wybrzeże było tylko kawałkiem samotnej odludnej wyspy?

Była to kwestya ważna, którą trzeba było w jaknajkrótszym czasie rozstrzygnąć. Od rozwiązania jej bowiem zawisły dalsze kroki, które należało przedsięwziąć. Mimo to przed rozpoczęciem dalszych wywiadów i badań, trzeba było jak mniemał Pencroff, kilka dni jeszcze wyczekać, ażeby przygotować zapasy żywności i postarać się o strawę posilniejszą niż same tylko jaja i mięczaki. — Podejmując dłuższą wyprawę, w której czekały ich trudy i mozoły, w której nie znaleźliby prawdopodobnie schronienia, gdzieby mogli głowę złożyć, potrzebowali wzmocnić i pokrzepić swe siły.

„Dymniki“ dawały tymczasowo dostateczne miejsce schronienia i wypoczynku. Ogień był rozpalony a nie trudno było przechowywać żar. Jak na teraz nie brakowało muszli ni jaj po skałach i w mule nadbrzeżnym. Możeby udało się zabić kilka z tych gołębi, które setkami okrążały szczyty skał, za pomocą pałki lub kamyka. A może drzewa sąsiedniego lasu rodziły jadalne owoce? Wreszcie mieli także wodę słodką. Postanowiono zatem pozostać jeszcze dni kilka w „dymnikach,“ ażeby przygotować się na dłuższą wyprawę wzdłuż wybrzeża lub w głąb kraju.

Projekt ten szczególnie przypadł do smaku Nabowi. Mając głowę nabitą myślami i przeczuciami nie spieszno mu było wcale porzucić tę stronę wybrzeża, gdzie się wydarzyła ostateczna katastrofa. Ani wierzył ani chciał wierzyć w śmierć Cyrusa. Zdawało mu się niemożliwem, ażeby człowiek taki zakończył życie w sposób tak pospolity, porwany przez morskie bałwany, ażeby utonął na kilkaset kroków od brzegu! Dopókiby fale morskie nie wyrzuciły na brzeg ciała inżyniera, dopókiby on, Nab, własnemi oczyma nie ujrzał, własnemi rękami nie dotknął zwłok swojego pana, dopóty nie uwierzyłby nigdy w śmierć jego! A myśl ta uporczywiej jeszcze niż pierwej zagnieździła się w sercu Naba. Było to złudzenie, może, ale złudzenie godne szacunku, którego marynarz nie chciał mu wydzierać! Marynarz sam nie miał żadnej nadziei, dla niego Cyrus zginął bezpowrotnie w toni morskiej, ale z Nabem nie było co mówić. Był on podobny psu, który nie chce porzucić miejsca, gdzie zginął pan jego, a boleść jego była tak wielką, że mało było prawdopodobieństwa, ażeby zdołał ją przeżyć.

Tego samego dnia, 26 marca, równo ze świtem wybrał się Nab wzdłuż wybrzeża, na północ i zaszedł aż do miejsca gdzie morze prawdopodobnie pochłonęło nieszczęsnego Cyrusa.

Śniadanie składało się dnia tego z jaj gołębich i z *litodomów*. Harbert znalazł w jednej rozpadlinie skalnej sól osiadłą tamże w skutek wyziewów morskich; ta substancja mineralna była dla nich wielce pożądaną.

Po jedzeniu zapytał Pencroff korespondenta, czyby nie chciał towarzyszyć jemu i Harbertowi do lasu, gdzie się wybierają, aby spróbować szczęścia myśliwskiego. Po głębszem zastanowieniu jednak okazała się konieczna kotrzeba, ażeby ktoś pozostał w domu, by podtrzymywać ogień i na wypadek dość zreszty nieprawdopodobny, gdyby Nab potrzebował pomocy. Korespondent zatem został.

— A nam, Harbercie, czas na łowy, rzekł marynarz. Amunicję znajdziemy po drodze a strzelby wytniemy sobie w lesie.

Na odchodnem zauważył jednak Harbert, że, skoro brakuje czyru, roztropnie by było czem innem go zastąpić.

— A czem? zapytał Pencroff.

— Kawałkiem płótna spalonego, odparł chłopak; W potrzebie zastąpi to czyr.

Marynarz pochwalił ten projekt. Cała niedogodność jego polegała tylko w tem, że trzeba było ofiarować kawałek chustki. Rzecz jednak warta była tego i wkrótce kawałek kraciastej chustki Pencroffa przemienił się we wpół spaloną szmatę. Zapalna ta materja schowaną została w średniej izbie w małem wydrążeniu skalnem, bezpiecznem od wiatru i wilgoci.

Była w ówczas godzina dziewiąta zrana. Niebo było pochmurne, a wiatr dął południowo-wschodni. Harbert i Pencroff skręcili na rogu za „dymnikami,“ rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na dym, który kłębami wylatywał z za skały, poczem podążyli dalej lewym brzegiem rzeki.

Skoro przybyli do lasu, Pencroff wyłamał z pierwszego drzewa duże grube gałęzie, które przemienił w tęgie pałki a Harbert końce ich przytarł nieco o skałę. Ach! coby był dał za kawałek nożyka! Poczem obaj myśliwi pospieszyli dalej wśród wysokich zarośli krajem urwiska. Począwszy od owego kolana, które bieg rzeki zwracało w kierunku południowo-zachodnim, koryto jej poczęło się zwolna zwężać i przemieniać się w wąską głęboką czeluść, zasklepioną z zewnątrz podwójnym łukiem gałęzi. Ażeby nie zbłądzić, postanowił Pencroff trzymać się kraju rzeki, któryby ich w potrzebie wyprowadził napowrót na miejsce, skąd byli wyszli. Droga jednak przedstawiała wielkie przeszkody: tu drzewa, których giętkie gałęzie spadały do samej powierzchni wody, ówdzie gęste wikliny, ciernie i głogi, przez które kijem trzeba się było przerębywać. Miejscami Harbert zwinnie jak kot przemykał się wśród połamanych gałęzi i pniów potrzaskanych i znikał w gęstwinie. Lecz Pencroff przywoływał go natychmiast, prosząc by się zbyt nie oddalał.

Tymczasem marynarz śledził bacznie rozkład i naturę kraju. Na lewym brzegu, którym szli, ziemia była płaską i wznosiła się zwolna w głąb lasu. Miejscami była błotnistą i przybierała wówczas charakter bagnisty. Czuć było pod spodem jakoby sieć żył wodnych, które podziemnemi kanałami sączyły się i wpadały do rzeki. Tu i ówdzie przez gęstwinę płynął strumyk, który z łatwością można było przeskoczyć. Brzeg przeciwległy zdawał się bardziej nierównym a dolina, której spód stanowiło łożysko rzeki w wyraźniejszych rysowała się kształtach. Pagórek pokryty drzewami amfiteatralnie uszykowanemi zasłaniał dalszy widok. Tam na prawym brzegu jeszcze trudniej byłoby iść, grunt bowiem był bardziej nierówny i spadzisty a drzewa przechylone do samej wody utrzymywały się tylko siłą swych korzeni.

Nie trzeba dodawać, że las ten podobnie jak części wybrzeża, którą już byli przebiegli, nie zdradzał ani śladu ludzkiej stopy ni ręki. Pencroff napotykał tylko świeże ślady jakichś

czworonożnych zwierząt, których gatunku nie mógł się domyśleć. Sądził jednak, i zdanie jego podzielał także Herbert, że niektóre z tych śladów należały do strasznych bestyj, z któremi lepiej się było nie spotykać; ecz nigdzie nie znaleźli ani znaków siekiery na drzewie, ani resztek wygasłego ognia, ani śladu stopy ludzkiej, której to okoliczności zresztą może błogosławić byli powinni, gdyż obecność ludzi na tej ziemi odludnej, wśród fal Cichego Oceanu, mogła wzniecać raczej obawę niż radość.

Harbert i Pencroff, którym ciągłe przeszkody wśród drogi nie dozwalały swobodniejszej rozmowy, posuwali się naprzód, bardzo powolnie, tak, że po godzinie drogi uszli zaledwie jedną milę francuską. Dotychczas polowanie nie obfitowało w zwierzynę. W gałęziach jednak świergotało i trzepotało się trochę ptactwa nader płochliwego, któremu widok człowieka zdawał się napędzać instynktywną bojaźń. Między innem ptactwem poznał Harbert w jednej z bagnistych stron lasu, ptaka o długim śpiczastym dziobie podobnego z kształtu do naszego zimorodka, od którego różnił się tylko swem pierzem szorstkiem metalicznego połysku.

— To musi być „jakamar,“ rzekł Herbert, próbując zbliżyć się nieco do ptaka.

— To by właśnie była dobra sposobność skosztować jego mięsa, odparł marynarz, gdyby miał ochotę dać się upiec na rożniu!

W tej chwili kamyk zręcznie i silnie rzucony ręką Harberta trafił ptaka pod samo skrzydło, lecz uderzenie nie było dość mocne, bo „jakamar“ zerwał się i pełnym pędem swych nóg umknął w mgnieniu oka w gęstwinę.

— Jakiż niezgraba ze mnie! zawołał Herbert.

— Wcale nie, mój chłopcze! odparł marynarz. Rzut był dobry a niejeden byłby chybił ptaka. Nie irytuj się więc! Na drugi raz nam się nie wywinie!

I podążyli dalej w las. Czem dalej szli, tem rozłożystsze, tem wspanialsze były drzewa, lecz żadne nie rodziło jadalnych owoców. Nadaremnie szukał Pencroff owych pysznych drzew palmowych, tak pożytecznych w życiu domowem, których ojczyzna, podług zapewnień przyrodników, rozciąga się aż do czterdziestego równoleżnika półkuli północnej, a tylko do trzydziestego piątego półkuli południowej. Las ten składał się z samych drzew szyszkowych, z „deodarów,“ które był poznał Herbert, z „duglasów“ podobnych tym, które rosną w północno-wschodniej części Ameryki i wspaniałych jodeł na sto pięćdziesiąt stóp wysokich.

W tej chwili gromada ptaszków małych, z pięknem pierzem, z długim mieniącym się ogonem rozpierzchła się pomiędzy gałęziami sypiąc pióra snać słabo przyrośnięte, które delikatnym puchem pokryły ziemię. Harbert podjął kilka tych piórek i przypatrzywszy się im dokładnie rzekł:

— To są „kurukusy“

— Wolałbym kurkę perłową lub cietrzewia, odparł Pencroff; no, ale można je jeść?...

— Wyśmienicie, rzekł Harbert, a nawet mięso ich jest bardzo delikatne. Zresztą, jeśli się nie mylę, dadzą się łatwo podejść i zabić kijem.

Marynarz i Pencroff, przemykając się chyłkiem pomiędzy zarośla, podkradli się aż pod drzewo, którego niskie gałęzie pokryte były całe temi ptaszkami. Kurukusy te czatowały na przesmyku na robaki, któremi się żywią. Widać było jak pierzastemi łapkami uczepiły się mocno pręcików od gałązek, na których siedziały.

Wtedy myśliwi nasi wyprostowali się nagle i zamachnąwszy się kilka razy pałką, jakby kosą, pościnali całe rzędy „kurukusów“, które w niemem osłupieniu, nie myśląc nawet o ucieczce, dawały się dobrowolnie mordować. Gdy ich już około sto leżało na ziemi, wtedy dopiero reszta zdecydowała się uciekać.

— Brawo! zawołał Pencroff, otóż to zwierzyna jakby stworzona dla takich myśliwych jak my! Można je ręką chwytać!

Marynarz ponawlekał te kurukusy, tak jak skowronki, na pręcik, poczem ruszyli dalej. Widocznem było że brzeg rzeki począł się z lekka zaokrąglać, tworząc niby hak zagięty w kierunku południowym, nieprawdopodobnem jednak było, ażeby w tym kierunku płynął dalej, rzeka bowiem musiała wytryskać w górach i zasilać się tam topniejącym śniegiem, który pokrywał boki góry, sterczącej w kształcie stożka pośrodku.

Głównym celem tej wyprawy było, jak wiemy, dostarczenie mieszkańcom „dymników“ jak największej ilości zwierzyny. Nie można było powiedzieć, ażeby cel ten dotychczas był osiągnięty. To też marynarz ciągnął dalej gorliwie poszukiwania i zaklął niemiłosiernie, gdy nagle zwierz jakiś, którego nawet rozpoznać nie mógł, pomknął wśród bujnych zarośli. Gdyby choć miał przy sobie Topa! Ale Top zniknął razem z swym panem i zapewne z nim razem utonął w morzu!

Koło godziny trzeciej z południa ujrzeli nowe gromady ptaków między drzewami obskubujące z nich wonne jagody, między innemi były tam drzewa jałowcowe. Nagle rozszedł się po lesie głos, podobny zupełnie do dźwięku trąbki. Te dziwne a donośne tony pochodziły od rodzaju kur leśnych, które w Stanach Zjednoczonych zwą „tetrasami“. Wkrótce ujrzeli kilka takich par, o pierzu płowo-brunatnem i z brunatnemi ogonami. Harbert poznał odrazu samców po dwóch śpiczastych skrzydełkach, jakie tworzyły napiętrzone na szyi piórka. Pencroff uwziął się koniecznie ubić jednego takiego „tetrasa“, wielkości tej co nasza swojska kura, którego mięso może się równać dobrocią z mięsem jarząbka; trudno to jednak było, bo nie dawały do siebie przystąpić. Po kilku bezowocnych próbach, któremi tylko płoszyli ptaki, rzekł marynarz do Harberta:

— Ha, skoro niepodobna ubić je w locie, spróbujemy chwytać je na wędkę.

— Jakto, tak jak karpia? zawołał Harbert wielce zdumiony tą propozycją.

— Tak samo, odparł marynarz zupełnie poważnie.

Pencroff znalazł w zaroślach około pół tuzina gniazd „tetrasich“, a w każdym było po dwa i trzy jaja. Dołożył całej ostrożności, ażeby nie naruszyć tych gniazd, których właściciele musieli kiedyś powrócić.

W pobliżu tych gniazd postanowił zarzucić swe sieci, nie takie sieci jak na przepiórki lub zające, lecz prostą pospolitą wędkę. Oddalił się więc z Harbertem na pewną odległość od gniazd i tam począł sporządzać osobliwsze swe sidła z taką troskliwą starannością, która byłaby przyniosła zaszczyt każdemu uczniowi Izaaka Waltona*). Harbert śledził tę robotę z łatwem do zrozumienia zajęciem, powątpiewając jednak o pomyślnym skutku. Wędka upleciona została z wąskiej, cienkiej wikliny piętnastu do dwudziestu stóp długości. Grube mocne ciernie z zakrzywionemi końcami, której dostarczył krzak karłowatej akacji, przymocował do końca wędki zamiast haczków. Za przynętę posłużyły dwie czerwone glisty pełzające po ziemi.

Po tych przygotowaniach Pencroff podkradłszy się zręcznie przez zarośla, położył jeden koniec wędki opatrzony kilkoma haczkami tuż przy samych gniazdach, poczem wziąwszy drugi koniec do ręki, skrył się wraz z Harbertem za grube drzewo. Obaj czekali cierpliwie, co dalej nastąpi. Harbert, jak powiedzieliśmy, nie bardzo ufał wynalazkowi Pencroffa.

Po dobrej pół godzinie kilka par tetrasów, jak przewidział Pencroff, powróciło do swoich gniazd. Skacząc i dziobiąc po ziemi, nie domyślały się całkiem obecności myśliwych, którzy mieli tę przezorność, iż stanęli pod wiatr.

Harbert czuł się w tej chwili żywo zainteresowanym. Wstrzymał oddech a Pencroff z wlepionemi oczyma, otwartą gębą, z ustami naprzód wydętemi, jakgdyby chciał w tej chwili połknąć kawałek tetrasa, zaledwie oddychał.

Tetrasy tymczasem przechadzały się pomiędzy haczkami, nie wiele na nie zważając. Wtedy Pencroff kilka razy z lekka szarpnął wędką dla poruszenia przynęty, ażeby się wydawało, że glisty jeszcze żywe.

Marynarz doznawał w tej chwili niezawodnie silniejszej emocji od rybaka łowiącego ryby na wędkę, który nie widzi we wodzie zbliżającej się zwierzyny.

Szarpnięcie wędki zwróciło uwagę tetrasów, które w tej chwili rzuciły się z otwartemi dziobami na haczki. Trzy tetrasy, najżarłoczniejsze zapewne, połknęły naraz przynętę i haczyk. W ówczas Pencroff ściągnął nagle wędkę a trzepotanie skrzydeł dowodziło że ptaki zostały schwytane.

— Hurra! zawołał marynarz rzucając się na swą zdobycz i opanowując ją w jednej chwili.

Harbert klaskał w ręce. Pierwszy raz w życiu widział, jak ptaki chwytają się na wędkę. Ale skromny marynarz zapewniał, że to nie jemu należy się zasługa tego wynalazku.

— A zresztą, dodał, w położeniu w jakiem my się znajdujemy, trzeba być gotowym na wszelkiego rodzaju wynalazki.

Zdobycz swą uwiązali za łapki, a Pencroff uszczęśliwiony że nie wracają przecie z próżnemi rękoma, widząc że dzień się już chylił ku zachodowi, oświadczył że czas wracać do domu.

Bieg rzeki wskazywał im drogę powrotu i około godziny szóstej Harbert i Pencroff, znużeni nieco wyprawą, powrócili do „dymników“.

(C. d. n.)

*) Autor słynnej rozprawy o rybołówstwie. (Przyp. autora.)

Przejażdżka Dniestrem.

Lekko łódka nasza mknie
Nad głębinę... nad przezrocze
Ciche... jasne i urocze...
Księżyc tonie w modrej mgle.
Nurty gonią się z pustotą,
I pląsają skrzelą złotą
Drobne rybki na ich dnie

Woniejące wiosny tchem
Szumią w koło gajów drzewa.
Smętna brzoza włos rozwiewa
Nad lazurów wodnych tłem.
W blaskach tonie ziemia cała...
Dusza się ukołysała
Czarodziejskim piękna snem.

Porzucone w mroczną dal
Jasne światów skrzą źrenice;
Nieujęte tajemnice
Nęcą, płonąc w lustrze fal.
Och! wiedź łódko przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

Tam... z zielonej kępy drzew,
Budząc błogie sfer milczenie,
Płynie rzewny jak westchnienie
Śpiew słowika, smutny śpiew!
Pocóż ptaszę dzisiaj tobie
Taka pieśń co mieści w sobie
Wszystkie serca łzy i krew?

Czy utraty płaczesz złud?
Cicho, cicho mój malutki!
Sen marzenia chociaż krótki
Mieści w sobie wieczny cud!
Kto nim swoją pierś wzbogaci
Skarb posiada! — cóż mu spłaci
Cały życia ból i trud!

Ciszej... ciszej... Płyńmy w dal
Za tą łódką, w uśmiechnięty,
W promienisty świat zaklęty,
Kryształową drogą fal!
Och! wiedź, łódko, przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział V.

(Ciąg dalszy.)

P. Karol wrócił późno do domu, i w jak najgorszym humorze. Z tonu i zachowania się Wacława wyrozumiał, iż szorstkim swoim sposobem mówienia o jego uczuciach względem Helenki, i o jej posagu, dotknął głęboko tego młodego człowieka, i kto wie, czy nie wyrządził wiele złego jemu i Helenie. P. Skryptowicz skłonnym był wprawdzie do bardzo cynicznego skeptycyzmu ale jakoś tym razem nadaremnie silił się zmniejszyć własną winę rozumowaniem, co do charakteru Wacława pesymistycznem, a optymistycznem co do skutków swojej wizyty u niego. Nadaremnie perswadował sobie, że młodzieniec zawieszający w swoim pokoju tak ostentacyjnie portret młodej panienki, która nie jest jego narzeczoną i która go nie upoważniła niczem do podobnego postępowania, jest bardzo zwykłym i powszednim młodzieńcem, jednym z tych, jakich tuzinami można spotkać na ulicy: zarozumiałym, lekkomyślnym, chełpiącym się ze swoich powodzeń, wyzyskującym je po swojemu, a niezdolnym do przejęcia się uczuciami głębszemi i szczerszemi. Nadaremnie rozumował dalej p. Skryptowicz, że natomiast, byłoby rzeczą zupełnie niezwykłą i niebywałą, gdyby młody człowiek rozpoczynający karjerę, a nie źle zapisany w sercu młodej i pięknej dziewczyny, dał się spłoszyć i skazał się na dobrowolne wygnanie z powodu, iż dziewczyna ma posag, i nadzieję miljonowego spadku. Wszak zwykło dziać się w świecie wprost przeciwnie! Otóż pomimo wszystkiego, p. Skryptowicz czuł, że była jakaś luka w jego rozumowaniu, czuł, że Wacław serdecznie i prawdziwie kochał się w Helenie, i że stanowczo i nieodwołalnie postanowił cofnąć się teraz, i wymazać to uczucie ze swojej pamięci i ze swojego serca.—Po jakich stu katów, mówił p. Karol sam do siebie, bijąc się pięścią w czoło,—poszedłem do niego, i poco mi się było mięszać w sprawy zakochanych młodych ludzi? Czy nie mogłem zrobić powoli i nieznacznie, to, czego chciałem, i czy nie mogłem powiedzieć im, że mają majątek, dopiero wtenczas, gdyby mię byli prosili o błogosławieństwo, oświadczając mi, że są zdecydowani na miłość w niskiej chałupeczce, o chłodzie i o głodzie? Dla jednego i dla drugiego z nich, następstwa takiego zerwania mogą być niedobre. Zawsze obiecywałem sobie, że gdyby Helenka, albo która z moich córek powzięła skłonność ku młodemu człowiekowi, to byle nie był jakim łotrem lub ostatnim nicponiem, pozwolę jej się kochać i iść zamąż za niego, i będę wolał widzieć ją puszczoną w świat w ten sposób, niż gdyby miała nauczyć się cenić lekko i tłumić w sobie wszelkie uczucie, a cel życia widzieć w błyszczeniu i w kokietowaniu, jak moja siostrunia, pani Zamecka. A teraz — sam pomięszałem sobie wszystkie plany i szyki. Zrobiłem głupstwo, i kwita.

W tem niemiłem przeświadczeniu p. Karol odszukiwał różnych znajomych i przyjaciół Wacława, i tak niezręcznie wciągał ich w rozmowę o tym młodym człowieku, o jego charakterze, zdolnościach i skłonnościach, że każdy od razu poznał, iż coś się święci. Rezultat tych badań powiększył jeszcze zmartwienie p. Skryptowicza, pokazało się, że Wacław uchodził powszechnie za młodzieńca pracowitego, rządnego, i nader zdolnego, i że ktokolwiek znał go bliżej, wyrażał się o nim z jak największym szacunkiem. Nakoniec zaś, wracając do domu, p. Karol ujrzał doróżkę dążącą w stronę dworca kolei żelaznej, a w niej, wśród tłumoków i pakunków, melancholiczną twarz młodego Rolińskiego. To było powodem, że p. Skryptowicz wróciwszy do domu, wyszukał sobie pierwszy lepszy drobiazg ustawiony czy urządzony nie po jego myśli, i wziął go sobie za temat do długiego gderania, które miało wykazać, że jakkolwiek pan domu czuł się w duszy obrzydliwym winowajcą, to jednak dokoła pełno było winowajców jeszcze gorszych.

Sądzę, że p. Skryptowicz byłby zmusił rodzinę swoją i całe sąsiedztwo do emigracji w dzikie wnętrze Afryki, gdyby był mógł wiedzieć w całej pełni, ile w istocie narobił złego. Oto był najpierw Wacław, miotany prawdziwem i gorzkiem cierpieniem. W dwie godziny po wyjeździe z miasta, zawitał on na plebanji w Rymiszowie, dokąd prowadziła już teraz kolej żelazna, mająca stację w miasteczku, o tysiąc kroków zaledwie od zamku p. Tadeusza. Ks. Chyżycki wrócił był właśnie z posiedzenia klubu, i ujrzawszy swojego wychowanka, ucieszył się niezmiernie.

— Niech-że cię uściskam, nie spodziewałem się widzieć ciebie tak prędko! Jakże, czy już po egzaminach? Czy wszystko poszło dobrze.

— Wszystko poszło jak najlepiej, ojcze — rzekł Wacław całując księdza w rękę — i nie zostaje mi nic, jak tylko po raz tysiączny wynurzyć wam wdzięczność za to wszystko dobre, któreście mi wyświadczyli.

— No, no, daj pokój temu chłopcze, wiesz dobrze, że cokolwiek mogłem zrobić dla ciebie, to mi wynagrodziłeś stokrotnie twojem prowadzeniem się i przywiązaniem, Ja stary, nie mam rodziny, nie mam nawet — dodał uśmiechając się — gospodyni, jak to czasem bywa na plebanjach.... ot i cieszy mię, żem cię wychował na człowieka, i że jest komu życzliwie pomyśleć o siwym niedołędze, jedzącym darmo chleb boży za to, że wyprawia *hocus-pocus* przy ołtarzu. Ta pociecha więcej warta dla mnie, niż dla ciebie moje takzwane dobrodziejstwa. Jak to dobrze, żeś przyjechał, i że może przynajmniej przez jedne wakacje odetchniesz, zamiast męczyć się dawaniem lekcyj! Pomyślimy teraz, co począć dalej, wszak to ci już lat dwadzieścia cztery, i należy ci się kąt własny. Taj może byś się już i ożenił, co, hę? No, chłopcze, nie zwieszaj głowy, jak moja gniada kobyła, kiedy Maciej zaśnie na koźle, a ona medytuje, dla czego ją na wizycie u pana hrabiego w Cielątkach poczęstowano postną sieczką, skoro nie ma żadnej wigilji w kalendarzu? Ale hrabia zakłada ogromną fabrykę, z kominami jak minarety bisurmańskie, i obiecał mi, że ciebie zrobi dyrektorem, a panien mamy w okolicy tyle, co kwiatów w polu. Cóż u licha, czyś głodny, czy co, żeś tak zposępniał? Bo.... bo zacznę kląć, jak nie-ksiądz! Wicenty! Dawaj-no jeść czemprędzej, bo panicz musiał przywieść apetyt z drogi!

Lecz Wacław silił się bezskutecznie, ażeby się zastosować do dobrego humoru księdza, a stary kucharz, Wicenty, zmartwił się niepospolicie, myśląc, że starannie przyrządzona wieczerza nie smakowała paniczowi, skoro jej prawie nie tknął. Proboszcz był wesół, i opowiadał mnóstwo dykteryjek, o pani hrabinie w Cielątkach, która w same żniwa sprowadziła tam Jezuitów z misją, ażeby rozkrzewić moralność i wstrzemięźliwość między ludem, w skutek czego musiano wzmocnić sąsiedni posterunek żandarmerji, a propinator w Cielątkach robił majątek, bo pobożne tłumy wypijały po każdem kazaniu niezmierne masy gorzałki, staczały zawzięte bójki między sobą i niepokoiły całą okolicę. Także i o wyścigach konnych, które odbyły się w Stajnikach u p. Kopycińskiego, i w których ogier angielski tego miłośnika sportu byłby niezawodnie wziął pierwszą nagrodę, gdyby się był nie przeziębił i nie dostał kataru, w skutek czego nie mógł dobiedz do mety i nagroda została nietknięta, bo nie było więcej współzawodników i anglika zadaniem było jedynie prześcignąć samego siebie, ale mu się to nie udało. Potem znowu ksiądz począł robić różne plany na przyszłość, i przedewszystkiem żenić Wacława, który tymczasem miał taką minę jak gdyby się raczej wybierał na pogrzeb, niż na wesele. Nakoniec, wezwany kategorycznie do wytłumaczenia się z tej melancholji, Wacław, który miał naturę zamkniętą w sobie i nie udzielającą się łatwo, ale przed swoim dobrodziejem nie taił się nigdy z niczem, rozpłakał się i całując proboszcza w rękę, wyznał mu, że pragnie iść w świat, za oczy, i że przyjechał tylko pożegnać się i podziękować ostatni raz za dobrodziejstwa, których doznał.

— A, teraz rozumiem! — zawołał ks. Chyżycki. — Jakaś Laszka-krasawica opętała mojego ruskiego mołojca, i jak to umieją krasawice, a osobliwie Laszki, poigrała z nim jak kotka z myszą i odwróciła się od niego! A Rusin smętny, i czuje głęboko, i nie zna się na sztuczkach panieńskich, więc zasumował się i zatużył na dobre. Ej, jakoś to będzie!

Wacław smutnie potrząsł głową i opowie-

dział księdzu niebogatą w dramatyczne epizody historję swojej miłości, swoją rozmowę ze Skryptowiczem, i stanowczy swój zamiar nie sięgania po rękę bogatej dziedziczki. Oprócz tego wielkiego zmartwienia miał i drugie, mniejsze nieco, ale tem dotkliwsze, że było to coś nakształt wyrzutu sumienia. Chodziło mu mianowicie o to, że p. Skryptowicz słusznie wytknął mu, jak niewłaściwą było rzeczą wieszać fotografję Helenki w swoim pokoju.

— Nie wpadło mi nigdy na myśl, jak to się wydać może komu obcemu. P. Skryptowicz dał mi do zrozumienia, że „dżentelmen," jak oni to nazywają, nie dopuściłby się nigdy takiej niedelikatności, takiego braku taktu. Zapewne, to moja prostacka, chłopska natura nie dała mi się tego domyśleć samemu! Cieszył mię widok tych rysów, i chciałem je mieć zawsze przed oczyma, gdy byłem u siebie. Zdawało mi się, że zrobiłem świątynię z mojego pokoiku, gdy w nim zawiesiłem ten portret. Przestępowałem własny próg z pewną czcią, gdy wracałem do siebie, niezdolny pojąć, że popełniałem świętokradztwo, i że nie urodziłem się na to, aby sięgać tak wysoko.

— Może być nieco chorobliwej egzaltacji w tem co mówisz, a może być trochę słuszności. Może ci w istocie dano do zrozumienia, że panna nie dla ciebie, a może tylko wywnioskowałeś to sam i uroiłeś sobie. A panna, jak myślisz?

— Myślę, że ani jej kiedy przyszło do głowy, iż śmiem marzyć o niej. Czasem byłem tak szalony, że roiłem sobie, jakoby mi była życzliwą. Ale było to wówczas, kiedy nie wiedziałem, jaki jest przedział między nami, kiedy sądziłem, że jesteśmy sobie równymi. Teraz pojmuję wszystko. Wiem, że wielkie panie uśmiechają się łaskawie do chudych pachołków jak ja, w tem przeświadczeniu, iż pachołek zrozumie swoje stanowisko i nie będzie łaskawych uśmiechów i łagodnych słów brał inaczej, jak tylko nakształt jałmużny, która go nie uprawnia do zuchwałych nadziei. W chwili gdy przekroczyłem tę dozwoloną granicę, dano mi niedwuznacznie do zrozumienia, że się zapominam. Skryptowicz wie zaledwie, co się dzieje w jego domu, a nie ruszy się z własnej woli do niczego. Musiały mu kobiety skarżyć się na mnie, spostrzegłszy, przeniknąwszy moje uczucia, i wyprawiły go do mnie z przestrogą, abym się nie zapominał. Było to zbytecznem, wystarczało nadmienić, że panna Grodecka ma znaczny posag. Jakkolwiek sierota po ubogim księdzu, mam za wiele dumy, abym się narażał na odmowę w takich warunkach, a nawet, abym sięgnął po posag i po rękę panny, chociażbym wiedział, że będę przyjętym. Boli mnie to teraz, bo kołysałem się przez rok bezmyślnemi złudzeniami, ale może kiedy przeboli.

— To musi być ta wychowanka p. Zameckiego, o której często wspomina, nawet przy żonie, i której nigdy nachwalić się dosyć nie może. Nie pojmuję tylko, dla czego p. Skryptowicz jest jej opiekunem. Ba, prawda, jako najbliższy krewny. Cóż robić, Wacławie, masz słuszność w tem wszystkiem, co powiadasz, i w tem, co czujesz. No, da Bóg, że to przeboli. Co do twoich projektów, pomówimy o nich później, teraz jednakowo będziesz „w swiecie za oczami," jeżeli zostaniesz jakiś czas tutaj i rozweselisz mnie starego. Porobisz znajomości, rozerwiesz się trochę. Pójdziemy jutro na zamek, pani Tadeuszowa podoba ci się niezawodnie, bardzo miła i wesoła kobieta, chociaż, jak mi się zdaje, trochę arystokratka, i trochę, jak to mówią, osoba egzaltowana. Pana Zamecktego pamiętasz pewnie? Bardzo zacny człowiek, i wcale nie arystokrata, mimo starego nazwiska i ogromnej fortuny. Bardzo rozumny człowiek, i dobry, chociaż go nazywają pozytywistą, materjalistą, i Bóg wie czem jeszcze. Ot, wart nawet lepszej żony, choćby mniej pięknej.

Gdy tak po dłuższej rozmowie, Wacław mówił dobranoc swojemu dobrodziejowi, i szedł dumać posępnie w swoim pokoju, o tej samej porze, w mieście, p. Skryptowicz wyczerpał był wszystkie motywa i temata do gderania, jakie mógł znaleźć, i przy pomocy żony zawiązywał właśnie swoją szlafmycę, udając się na spoczynek. Widok niedalekiej poduszki usposobił go snać nieco łagodniej, i niezwykle spokojnie zapytał:

— Dla czego Helenka tak posmutniała pod wieczór, kiedy w dzień była tak ożywioną i wesołą, jak nigdy jej nie widziałem?

— Rolińskiego nie było dzisiaj, myślała zapewne, że przyjdzie na herbatę, ale się nie pojawił.

— Roliński już wcale nie przyjdzie. Et, narobiłem bigosu — wygłosił p. Karol ze skruchą, zapalając fajkę.

Pani Leokadja nie miała nawet odwagi zapytać kochanego mężulka, co się stało. Stanęły jej przed oczyma tylko dalsze konsekwencje tego, co mówił p. Karol.

— Biedna Helenk ! — westchnęła.

— Biedna, biedna! Jeżeli on o nią nie dba, to lepiej że zawczasu wybije go sobie z głowy. Miałem z nim rozmowę... wiesz, byłem cokolwiek rozdrażnionym... powiedziałem mu, że Helenka ma majątek... Jednem słowem, oświadczył mi, że więcej u nas nie będzie, i wyjechał, jak przypuszczam, do Rymiszowa. Starałem się odwieść go od tego postanowienia.

— Musiałeś powiedzieć mu coś przykrego... Tymczasem...

— Cóż znowu, czasem? Czasem! Czy miałem może upaść mu do nóg, i błagać go, aby się kochał w Helence? Dajcie mi państwo pokój z waszemi romansami, których już mam po uszy, i dajcie mi spać!

Na tem skończyła się konferencja małżeńska. Mamże wyznać iż pani Skryptowiczowa, może po raz pierwszy w życiu, ośmieliła się mieć własne zdanie w tej właśnie materji? Była ona przekonaną, iż p. Karol w chwili rozdrażnienia tak boleśnie dotknął Rolińskiego, że temu ostatniemu nie zostało nic, jak tylko z zakrwawionem sercem, zrzec się wszelkiej nadziei, a przedewszystkiem, zaprzestać bywania w ich domu. Pani Skryptowiczowa nie tylko sama żywiła to przekonanie, ale co gorsza, udzieliła go Helence, gdy po kilku dniach wyszło na jaw, że Wacław nie pojawi się wi,cej. Nie czuję się zdolnym opisać wrażenia, jakie odkrycie to sprawiło na umyśle mojej bohaterki. Nie potrafiłbym nawet oddać smutku pani Leokadji i jej córek z tego powodu. Powiem tylko, że pan Karol stanął we własnym domu w świetle okrutnego ludożercy, któremu oddano w milczeniu należne posłuszeństwo jako głowie rodziny, ale na którego patrzano ze zgrozą i obawą. Gdy się pojawił w pokoju, udającym salon, kto mógł, wynosił się powoli, aż nareszcie całe towarzystwo cofnęło się do sypialni. Jeżeli p. Karol i tam dotarł, kobiety siedziały w kąciku z zapłakanemi oczami, oprócz Helenki, która była śmiertelnie bladą, ale już, czy jeszcze nie miała łez dla swego bolu. Jeżeli p. Skryptowicz mówił, odpowiadano mu półsłówkami, jak najkrócej. Chciał prowadzić żonę i panny na spacer, do teatru, chciał w ich towarzystwie robić lub przyjmować wizyty, jednem słowem, gotów był dokonać takich cudów uprzejmości i grzeczności, na jakie nie zdobył się nigdy prz.dtem — i nie udało mu się to ani razu. Migreny i bole zębów zdawały się panować epidemicznie w jego rodzinie; nikt mu się nie sprzeciwiał wprost, a przecież wszyscy, a raczej wszystkie, paraliżowały najlepsze jego chęci i najbardziej uprzejme zamiary. Była to bierna opozycja nakształt tej, jakiej w nowszych czasach chwycił się naród czeski: niezwalczona mięszanina uległości, lojalności, pozornej czy rzeczywistej apatji, łez bez skarg, westchnień bez słów, i rozpaczy w spojrzeniach, nigdzie nie skierowanych, pływających niejako w próżnej przestrzeni!

P. Skryptowicz miał słabsze, czy drażliwsze nerwy od austrjackich mężów stanu. Dwa tygodnie tylko trwał ten bunt milczący, a pokonał go najzupełniej. Najpierw począł sypiać w nocy, a w dzień wychodzić z domu, albo być widzialnym u siebie dla ludzi, którzy przychodzili go odwidzać i dawniej nigdy nie mogli dokazać tej sztuki, bo p. Karol bywał zawsze bardzo „cierpiącym" albo „spracowanym" i nikogo nie puszczano do jego pokoju. Tej zmianie w sposobie życia p. Karola, niniejsza wiarygodna historja zawdzięczać będzie po części swój rozdział następujący — tutaj należy jeszcze tylko wiadomość, że ósmego już dnia po zainaugrowaniu owej polityki biernego oporu ze strony p. Skryptowiczowej, jej córek i Helenki, poraz pierwszy od lat piętnastu p. Karol kazał sobie przynieść kopertę i znaczek pocztowy, i napisał, co następuje:

„Tadeuszu! Przyjeżdżaj, bo nie mogę sobie dać rady. Helena jest zakochaną, wszystko skwaszone, i wszystko nie do wytrzymania. Mam ochotę wyprowadzić się do Nowej Gwinei albo jeszcze dalej.

Przyjeżdżaj koniecznie i natychmiast. Karol."

Kto tak rzadko wdaje się w korespondencję, jak p. Skryptowicz, ten nierad powierza poczcie swoje listy bez rewersu. I p. Karol nie zaniedbał tej ostrożności, z obawy, aby nie musiał pisać po raz drugi. — Tadeusz odebrał więc jego list niewątpliwie, wszelako tydzień już mijał, a nie widać było ani odpowiedzi, ani p. Zameckiego.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

RECENZJA

A. Świątochowskiego.

(*Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart, von Friedrich von Hellwald; Augsburg. 1875.— Najnowsza historja cywilizacji.*)

„Historja cywilizacji" jest bez wątpienia najponętniejszym i najbardziej imponującym dla uczonego tematem. Jest ona wyższą po nad wszystko na co umysł ludzki pokusić się może, bo wszystko obejmuje. I dla tego nie należy nigdy dziwić się niepowodzeniu ale raczej odwadze tych, którzy mają śmiałość sięgnąć po tak wysoko zawieszone laury. Czuć tyle ufności w sobie, ażeby w pewnych granicach uznać się wszechwiedzącym i z chaosu najprzeróżniejszych faktów wydobyć najtajniejsze sprężyny i prawa kierujące rozwojem ludzkości, na to nie dość herkulesowej zuchwałości, potrzeba jeszcze herkulesowej siły

Nie można też zaprzeczyć, że dotychczasowi historycy cywilizacji posiadali ją w mniejszym lub większym stopniu. Pierwszym tego dowodem są same ich pokuszenia. Pomiędzy celem człowieka a jego mocą i środkami nie rozciąga się nigdy taka odległość, ażebyśmy pierwszego ostatniemi objaśnić sobie nie mogli. Tchórz nie pomyśli o zdobyciu a nabożniś o zbadaniu świata. Kiedy zamierzamy coś robić jako ludzie zdrowi, niezawodnie mamy do tego pewne prawo, pewne szanse, słowem zajmujemy stanowisko możliwości. Nic to nie znaczy, że najczęściej przeceniamy to prawo, te szanse, gdyż w każdym razie pomyłka nasza chociażby była znaczną nie będzie nieobliczoną. Prawda ta spostrzegalna na każdem polu ludzkiej pracy, uwidoczniła się bardzo wyraźnie w literaturze dziejów cywilizacji. Może żadna inna gałęź piśmiennictwa nie posiada stosunkowo tyle i tak rażąco chybionych usiłowań! Podczas bowiem gdy piśmiennictwo powszechne ma w specjalnych sferach wiedzy prace niemal bez zarzutu, nie posiada ani jednej historji cywilizacji, którejby lada uczony nie mógł wykazać grubych błędów. Czyż mimo to poważy się ktokolwiek rozsądny autorom tych chybionych a olbrzymich przedsięwzięć odmówić wyjątkowej zdolności i nauki? Weźmy przykład. Jeżeli zmierzymy założenie wykonaniem, to żadna „Historja Cywilizacji“ nie jest dziełem względnie bardziej niedostatecznem jak — Buckla. Jest to bowiem w europejskiej literaturze jedyny i prawdziwy Babel, zrąb jakiejś olbrzymiej budowli, która szczytem swym miała do nieba sięgnąć, której wykończeniu jednak przeszkodziło.... pomięszanie języków. Gdy bowiem jej twórca zaczął mówić wiedzą wszystkich umiejętności, gdy zarówno chciał oryginalnie nakreślić postęp medycyny jak filozofji — poplątał się przy wiązaniu własnych myśli. Dalej prowadzić budowę było niepodobieństwem, bo zamięszanie naukowe wstrzymało wszelką pracę — więc też ją przerwał zostawiwszy potomności przykład wielkiego pokuszenia i wielkiego zawodu. Czyż jednakże dziś patrząc na ten Babel, na jego kolosalne fundamenta i wiązadła, nie czujemy głębokiej czci i podziwu dla tego tytanicznego umysłu? Czy nas nie przejmuje zdumieniem ten olbrzym zamknięty przez kilkanaście lat w swej bibljotece i przygotowujący w niej materjał do gmachu, w którym wszystkie myśli, uczucia, walki, tryumfy i cierpienia ludzkości w swoich naczelnych ideach przedstawione być miały? Czy powiemy że Buckle ze swoją książką ułomną mniej wart niż jaki autor łacińskiej gramatyczki ze swoją doskonałą? Nigdy. Powiemy zawsze iż Buckle jako dziejopis popełnił błędy, nie wystarczył rozległości swojego założenia, ale zarazem — że był jednym z najpotężniejszych i najśmielszych umysłów. A nawet jeśli chcemy być zupełnie sprawiedliwi, musimy dodać, że wina jego naukowych pomyłek nie jemu lecz ludzkiej wiedzy i piśmiennictwu przysądzoną być winna, jeżeli tu w ogólności o jakiejkolwiek winie może być mowa. Specjalne bowiem gałęzie nauki nie rozwinęły się dziś (a tem mniej wtedy) do tego stopnia, ażeby historyk mógł czerpać z nich gotowy, zupełnie obrobiony materjał. Dopóki on zaś będzie musiał obok ogólnej syntezy jeszcze analizować i badać każdą specjalność, dopóty największe wysiłki zawodzić będą.

Główną ojczyzną historyków cywilizacji jest Anglja. Około Buckla w krótkim czasie stanęło grono bardzo znakomitych umysłów. Draper, Tylor, Lubock, Lecky i inni, którzy wprawdzie swym pracom szczuplejsze naznaczali ramy, których przecież chodziło zawsze o nakreślenie większego lub mniejszego obrazu „cywilizacji“. Po Anglji chwała tego rodzaju pokuszeń należy się bez wątpienia Niemcom. Jeżeli nawet idzie o liczbę i dawność, to należałoby im przyznać pierwsze miejsce. Począwszy bowiem od Herdera ciągnie się dość znaczny szereg nazwisk zapisanych pod rubrykę dziejów cywilizacji. Jednakże, jakkolwiek nie można im odmówić zaszczytu figurowania obok Bucklów i Draperów, nie można zarazem stawić ich na jednym z nimi poziomie. Do tego brak im dwu przymiotów: wyjątkowego uzdolnienia i oryginalności, dwu przymiotów jedynie ratujących zasługę od zapomnienia. Ztąd też gdy o Wachsmuth'ach ogół już dawno nie pamięta o Bucklach późna potomność jeszcze pamiętać będzie. Uwaga ta nie ma bynajmniej zamiaru ignorować zasługi i sławy Kolbów i Klemmów, zaznacza tylko ich stosunek do uczonych angielskich.

Mając dziś poznać najnowszą „Historję Cywilizacji, która przed kilku tygodniami wzbogaciła niemiecką literaturę, zadajmy jej autorowi następujące pytanie: jakie okazał naukowe siły i czem się wyróżnił od poprzednich badaczy? To nas wprowadza bezpośrednio w treść samego dzieła. Jego pierwsze części zajmują się kwestjami ze sfery antropologji, etnografji, etneologji a nawet geologji. Dzieje powstawania ziemi, pochodzenia człowieka, pierwsze wynalazki, słowem wszelkie zagadnienia jakie się nastręczyć mogą ciekawości ludzkiej, zwróconej ku tym ciemnym mgłom, które otoczyły kolebkę naszego rodu, Hellwald stara się uwzględnić i rozstrzygnąć, o ile mu na to najnowsze badania pozwalają. Po rozjaśnieniu tych mroków kreśli koleją pochodu cywilizacji rozwój pojedyńczych narodów lub ich rodzin. A więc występują państwa wschodu, Indje, ludy hamito-semityckie itd. ciągnie się ten łańcuch którego ostatniem ogniwem są czasy najnowsze. Że autor dla pomieszczenia ogromnej masy faktów w szczupłym stosunkowo obrębie książki musi zachowywać proporcję i uwydatniać tylko zjawiska główne—to nie ulega wątpliwości. Z drugiej jednakże strony jeśli chce wskazać rzeczywiście pochód cywilizacji, musi tak starannie odszukiwać pokrewieństwa i zależności zdarzeń, musi tak znać stosunek historycznych przyczyn do skutków, ażeby mógł wysnuć nieprzerwany ciąg rozwoju i wytłumaczyć wszelkie jego momenta. Ta metoda jest jednym z najświetniejszych przymiotów książki Buckla, u innych dziejopisów (Kolb) przeradza się ona w systemat a priori pomyślany, u Hellwalda — niestety — stanowi kardynalny niedostatek. Złożyły się na to dwa względy: naprzód za ubogi materjał naukowy autora i za ciasne ramy jego książki. Hellwald więc nie uniknął zarzutu niewiadomości stawianego prawie wszystkim historykom cywilizacji i mojem zdaniem nie uniknął go mniej od innych szczęśliwie. Ażeby nie pozostawić tego oskarżenia bez przykładu, zastanowię się nad jednym chociaż ustępem książki. Wiadomo dziś nawet najmniej z nauką obeznanym, iż żaden naród nie wywarł większego wpływu na czasy potomne jak Grecja. Jej cywilizacją żywiła się Europa wyłącznie przez kilkanaście wieków i żywi się do dziś dnia jeszcze. Zdawałoby się więc że historyk powinien szczególniejszą uwagę zwrócić na ten naród mistrzów, a nadewszystko że powinien ukazać całą tę ich olbrzymią siłę duchową, która zdołała tak długo i tak powszechnie nad światem zapanować. Tymczasem u Hellwalda napróżno byśmy czegoś podobnego szukali. Nigdzie nawet nie zdradza on uczucia potrzeby takiego wykładu. Wtedy n. p. kiedy Arystotelesy i Platony byli nietylko filozoficzymi genjuszami ale nadto prawodawcami w siedzibie myślenia przez dwadzieścia wieków, Hellwald każe im się dzielić w swej książce kilkowierszową wzmianką przyprawioną komunałem. Wiek Peryklesa ta jedyna może w dziejach i niezmiernie wpływowa chwila — zakreślona pociągami szkolnego podręcznika. Pomijam naturalnie w tym wypadku liczne błędy, do których doprowadził autora jego niefortunny przewodnik (Röth), zwracam tylko uwagę na płytkość w poglądzie na cywilizację grecką. Nikt zapewnie nie będzie np. wymagał od Hellwalda, ażeby ten przestudjował w źródłach całą grecką filozofję dla trafnego osądzenia jej na kilku stronicach, ale każdy upomni się o znajomość jej koryfeuszów, wreszcie o znajomość jej stosunku do kultury Greków i narodów późniejszych. Gdyby autor był posługiwał się chociaż najlepszemi podręcznikami jakich jego ojczysta literatura dość posiada, byłby miał czem zapełnić lukę, która szczerbi jego książkę uderzającym niedostatkiem.

Nie będę poruszał innych punktów podobnych, gdyż komplet takich uwag przerósłby ramy obecnego sprawozdania, zaznaczę tylko ogólnie, że źródła z których Hellwald czerpał materjały do swej „Historji Cywilizacji“ są często naprzód niedostateczne w ilości, powtóre w jakości, gdyż nieraz płyną ze zwyczajnych dziennikarskich artykułów. Pierwsze zatem pytanie jakieśmy sobie postawili względem książki Hellwalda daje się rozstrzygnąć taką odpowiedzią: autor jest człowiekiem znacznej wiedzy jako pisarz, ale zamałej jako historyk cywilizacji. Przypatrzmy się teraz jego naukowemu stanowisku.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XVI.

Uważałem to i uważam zawsze za najświętszy mój obowiązek, mieć *a priori* jak najlepsze wyobrażenie o moich czytelnikach. Z tego powodu, ile razy biorę pióro do ręki, przejmuję się przeświadczeniem, iż przemawiać mam do zgromadzenia ludzi nietylko posiadających najwyższe zalety etyczne, jakoto: poczucie słuszności i sprawidliwości bezwzględnej, miłość chrześciańską bliźniego i wspaniałomyślność rycerską, ale nadto, do zgromadzenia ludzi niezmiernie światłych i wykształconych, obznajomionych ze wszystkiem, co działo się i dzisiaj dzieje się w świecie, zajmujących się żywo wszystkiemi współczesnemi kwestjami spornemi, godnemi uwagi,' i czytających wszystko godne czytania.

Idealne to moje zapatrywanie się na koło szanownych moich czytelników, w praktyce dotychczas wyjątkowo tylko okazało się nietrafnem, a i w ówczas jeszcze pokazało się każdym razem, że czytelnik, którego przekonania i zasady moralne różniły się od ogólnie przyjętych, albo który nie wiedział o jakiejś rzeczy powszechnie wiadomej, albo nakoniec, nie rozumiał czegoś, co się samo przez się rozumie, — nie był moim czytelnikiem, ale cudzym. Nawiasem mówiąc, jest to okoliczność dla każdego pisarza niepospolicie pocieszająca, niepodobieństwem byłoby bowiem pi-

*

sać kroniki i pogadanki, gdyby się n. p. musiało wykazywać, iż siódme przykazanie tyczy się nietylko chłopów i żydów, którzy kradną konie, ale niemniej i założycieli, jakoteż kierowników wielkich zakładów i przedsiębiorstw finansowych To, pod względem etycznym. Pod intelektualnym zaś, potrzebaby zrzec się zawodu pisarskiego, gdyby się nie miało pewności, że każdy czytający jest o tyle *au courant* faktów, prądów i myśli poruszających świat cywilizowany, o ile to być może.

Z tego stanowiska wychodząc, przypuszczam, iż w najodleglejszych zakątkach naszego kraju rozbrzmieć się już musiał w tej chwili jęk boleści, wydany przed dwoma tygodniami przez jednego z szanownych kolegów moich (jeżeli *gemejne* może tak nazywać *gefreitra*) w piśmie, które koleguje (w tych samych warunkach) z *Tygodniem*. Jękowi temu żałośnemu nadano tytuł hamletowski, sarkastyczno-tragiczny: „Weseli grabarze.“

Szanowny kolega-*gefreiter* powziął wiadomość, iż gdzieś nie daleko stanęli na placu dwaj zapaśnicy nie równej siły. Jeden z nich miał różowane i blanszowane policzki, zmarszczki starannie wygładzone za pomocą pewnych sekretów toaletowych, zęby z najpierwszej fabryki w Europie, perukę pięknie zafryzowaną, wąsiki ufarbowane za pomocą słynnej *Puritas*, a wątła jego i suchotnicza budowa na oko przybierała imponujące rozmiary, dzięki zręczności krawca, który podwatował mu piersi, uda i łydki. Uchodził on za dziedzica olbrzymich majątków, niewiadomo gdzie położonych. Reputacja jego pod względem moralnym i honorowym była tak znakomitą, że byłby mógł na nią zaciągnąć miljonowe długi, gdyby ich już był nie zaciągnął na hipotekę owych majątków. Przypisywano mu potęgę prawie boską i utrzymywano, że wzrok jego sięga po nad gwiazdy, słuch jego rozróżnia najsubtelniejsze modulacje w harmonji sfer niebieskich, uczucie jego odgaduje cierpienia i wesela kwiatów, węch jego chwyta balsamiczną woń, przenikającą etery, a smak jego należy do najwykwintniejszych, i jest jedynie uprawnionym smakiem. Siły miał mieć tyle, ile zmysłów, i poruszać nią podług swojego upodobania skały, serca, zwierzęta i bogi. Na imię było mu I d e a l i z m.

Drugi zapaśnik był to prostak o krępej i muskularnej budowie ciała. Przyznawał się, że widzi tylko tak daleko, jak jego wzrok sięga, a więc wcale niedaleko, i że inne jego zmysły funkcjonują także tylko w tym stosunku. Natomiast co widział lub słyszał, to widział i słyszał dokładnie. Skał nie podejmował się poruszać naraz, ale dźwigając brylę po bryle, dawał im radę. Z bogami nie wdawał się wcale, a opukawszy serca ludzkie i przekonawszy się, że każde z nich odzywa się z innego tonu, swojego własnego, i że współdźwięk osiągnąć można jedynie pukając do głów, pukał do tych ostatnich bez ustanku, ale były po największej części bardzo twarde. Prostak ten zwał się P o z y t y w i z m.

Otóż, jak się dowiadujemy z jęku boleści szanownego mojego kolegi-*gefreitra*, Idealizm uległ w walce z Pozywizmem i odbywa się właśnie jego pogrzeb, a ponury ten i żałobny obrzęd srodze ma być zakłóconym grubjańskiemi i karczemnemi wybuchami śmiechu i okrzykami tryumfu ze strony Pozytywizmu. Ztąd pochodzi nie tylko tytuł: „Weseli grabarze,“ ale także i żałość mojego szanownego kolegi, objawiająca się w okresach tak długich jak stacja pocztowa w kraju Czarnomorskim, i tak zarosłych burzanami krzewiącemi się na niewyraźnych kurhanach głęboko ukrytych myśli, jak krajobraz z „Marji“ Malczewskiego. Nawet „Guldja“ złotobrodego Emira ruszywszy rano z noclegu, nie zdołałaby stanąć na popas u najbliższej kropki, i mogłaby połamać nogi zaplątawszy się w przecinkach po drodze. Jednem słowem, jest to żal płynący jak Dniestr, takiemi zakrętami, że zdaje się dążyć jednocześnie na wschód i na zachód, na północ i na południe, nakształt arabeski maurytańskiej na ścianach Alhambry, albo nakształt wyżła, który kładąc się spać na twardej podłodze, obraca się kilka razy w kółko, ażeby wmówić w mopsa wygodnie leżącego na kanapie, że dbając także o komfort, starannie zaściela sobie legowisko, mchem i materacami.

Szanowny kolega (dla krótkości, a nie z braku uszanowania, nie będę co chwila wymieniał jego rangi) szanowny kolega tedy wywodzi, iż pozytywtim dobrym jest do badania praw przyrody, a idealizm, do odgadywania prawd moralnych. Ale tutaj arabeska, Dniestr, wyżeł, jednem słowem, uczucie żałośne, skręca w bok, i oświadcza, że pozytywizm nie zdoła nigdy zbadać prawd przyrody, bo Dubois-Reymond tak powiedział. Jednakowoż, na następnym zakręcie, pokazuje się, że pozytywizm zbadał już bardzo wiele, a tylko nigdy nie dokopie się do gruntu sfery moralnej człowieka. W tej chwili wszelako, Dniestr wraca się znowu od Zaleszczyk ku Ujściu Zielonemu, i konstatuje, że Coignet oparł prawidło etyczne na zasadzie pozytywnej. Rozhulawszy się i rwąc brzegi, żałość szanownego kolegi dochodzi do konkluzji, że pozytywizm może mieć słuszność ale nie powinien tryumfować, bo kto wie, czy nie ma niesłuszności.

To się u mnie nazywa, postawić kwestję jasno i załatwić ją ku pożytkowi ogólnemu, tak, aby każdy wiedział, czego się ma trzymać. W szczegółach, przezroczystość i ścisłość wywodów szanownego kolegi jest jeszcze bardziej podziwienia godną. Wyjaśnia on, iż moralność pana Coignet polega „na uwzględnieniu interesu społecznego,“ podczas gdy ludzkość przez tyle wieków rządziła się prawami opartemi na innej zasadzie, i było „serdeczniej, przyjemniej i cieplej na świecie.“ Szanowny kolega pozwoli, że złożę tutaj hołd jego talentowi i zasługom, ośmielając się dorzucić słów kilka o zasadach, na których od tylu wieków opierały się moralne pojęcia ludzkości, jakoteż o szczerości, przyjemności i cieple dawnych jej warunków życia.

Otóż, owe moralne pojęcia ludzkości, które mają niby rugować z ich posad obrzydliwy pozytywizm, opierały się na następujących zasadach, ułożonych przez Mojżesza.

Ażeby mogło istnieć społeczeństwo, potrzeba, ażeby jeden drugiego nie zabijał, nie okradał, nie odbierał mu żony, ani mienia, ani czci jego. Zakazuje się przeto 5te zabijać, 7me kraść, 8me fałszywie świadczyć, 9te zabierać bliźniemu żonę, 10te zabierać mu mienie.

Ażeby mogło istnieć społeczeństwo, potrzeba ażeby istniała rodzina. Ta nie może istnieć, jeżeli dzieci nie szanują rodziców, lub jeżeli mąż i żona nawzajem nie dochowują sobie wiary małżeńskiej. Nakazuje się tedy 4te aby dzieci szanowały rodziców, i 6te aby między płcią męzką i żeńską istniały tylko stosunki prawem uregulowane.

Ażeby, nakoniec, istnieć mogło społeczeństwo potrzeba, ażeby prawidła powyższe nie tylko były spisane, ale ażeby ich przestrzegano. Ogłasza się je przeto w imieniu Stwórcy i po 1sze zakazuje się wierzyć w bogi, które pozwalają zabijać, kraść, oszukiwać i cudzołożyć. Po 2gie otacza się imię Stwórcy grozą piorunów i nakazuje się cześć dla tego imienia. Po 3cie zaprowadza się obrzędy, wyrażające tę cześć na zewnątrz. Tyle w Dekalogu, ale ponieważ także takie moralne zobowiązania mogłyby być nie wystarczającemi, więc dalszy ciąg Pentateuchu zawiera postanowienia, kogo należy ukamienować, komu uciąć głowę, kogo wywołać z kraju, zamknąć do kozy lub obłożyć plagami, za nietrzymanie się przykazań. Wszystko zaś w tym celu głównie, aby z narodu izraelskiego utworzyć odrębną polityczną całość, zostającą pod rządem teokratycznym, jedzącą, pracującą wypoczywającą podług pewnych zbawiennych wcale przepisów.

Widzimy tedy, że p. Coignet nie wymyślił nic nowego, i że „moralność polegającą na uwzględnieniu interesu społecznego,“ o więcej niż trzytysiące lat przed nim, wynalazł Mojżesz. Różnica leży w tem, że według p. Coigneta, społeczeństwo samo jest swoim Mojżeszem, i że prawidła etyczne obowiązującemi są niezależnie od faktu, czy pewnego dnia grzmiało na górze Synai, lub nie? Niezależność ta jest bardzo ważną rzeczą, zważywszy, iż zdaniem dziewięciu dziesiątych części całego społeczeństwa, Mojżesz wtajemniczonym być miał przez kapłanów egipskich w niektóre elementarne wiadomości z pirotechniki, a więc, mogło nie grzmieć na prawdę. Otóż dobrą jest rzeczą, aby ludzie nie zabijali się i t. d. pomimo tego, że nie wierzą, by grzmiało — i należy przyznać, że k o n i e c z n a, n i e u b ł a g a n a p o t r z e b a pełnienia przykazań jest argumentem równie silnym jak pioruny i grzmoty, Skoro społeczeństwo całe poznało i uznało tę potrzebę, staje się ono samo swoim własnym Mojżeszem i oto jedyne nieszczęście, wynikające z pozytywizmu.

Zostaje mi jeszcze zaznaczyć, że życie w dawnych, niepozytywnych warunkach, było serdeczniejszem, przyjemniejszem, i cieplejszem. Że było cieplejszem, to niezawodna; Łukasz Górnicki zaraz na pierwszej kartce opowiada, jako za Zygmunta Augusta pewną mieszczkę krakowską, za błędne pojmowanie dogmatu o Trójcy Przenajświętszej spalono na stosie. Przypuszczam, że było jej ciepło. Co się tyczy przyjemności, potrzeba w istocie być „wesołym grabarzem,“ ażeby nie rozumieć, o ile więcej umilały ludziom życie idealne zapatrywania, według których jedni ludzie byli „urodzonymi do Rzeczypospolitej“ a inni do brania nahajek — w porównaniu z dzisiejszemi poglądami, według których i na Rzeczpospolitą i na nahajki potrzeba zarobić i zasłużyć! Ach, a ta serdeczność dawniejsza! O ileż serdeczniejszą, była Elżbieta, gdy pozwoliła ściąć Marję Stuart, od Wiktorji, która puściła na wolność Guicovara Barody!

Oddawszy cześć słusznemu oburzeniu szanownego mojego kolegi na „wesołych grabarzy,“ pozwolę sobie zwrócić jego uwagę na jedną drobną okoliczność. Tego rodzaju prace, jak jego, należą niezawodnie do najpyszniejszych kreacyj umysłu ludzkiego, i zaledwie raz na tysiąc lat powstać może prorok wołający tak gromkim głosem: Stójcie bezbożni! Jednakowoż, długość okresów, wijący się nieco tok natchnionej myśli i częściowe jej zakurhanienie pod burzanami, sprawiają, iż prorocze zaklęcia stają się niezrozumiałemi dla tłumu, i niezdolne są przejąć go należną niechęcią ku wybujałościom pozytywizmu, ani nawet ku pseudo-pozytywizmowi, polegające-

mu na ubóstwianiu swojego „ja.“ W tej mierze nierównie więcej dobrego zrobić mogą powieści takie, jak n. p. *Hard Times* (ciężkie czasy). Rozpowszechnianie takich książek, jak pomieniony utwor Dickensa, byłoby misją prawdziwie apostolską, ci powieściopisarze angielscy bowiem, zamiast kręcić się w kółko na jednem miejscu, tak misternie jak szanowny mój kolega, dążą prosto do celu i wykładają ludziom, co złe a co dobre, w sposób niezmiernie jasny i zajmujący dla umysłów nieprzyzwyczajonych do przesadzania w galopie przecinków i średników, dwukropek i myślników, w pogoni ku kropce. *Hard Times* przetłumaczono w Warszawie, czy czytał kto tę książkę w Galicji?

Jan Lam.

Kronika paryska.

VI.

Paryż d. 1. Kwietnia 1875.

By dzisiaj, we Francji, skroń sobie ładnym powodzenia ozdobić laurem, by bacznych i pobłażliwych widzów sobie zjednać a słuchaczy, malarz, rzeźbiarz, poeta, nie potrzebują gdzieś daleko za górami, produkcyjnego szukać natchnienia. Dzięki zbyt naturalnej, bym ją tu tłumaczył, skłonności serca ludzkiego do rozpatrywania się w własnych ranach i do pocieszania się w klęsce iluzją, natchnienie to na wszystkich polach bitew ostatniej wojny, od Wissenburga do Sedanu i dalej, wciąż świeżym, bo nie zaschłą jeszcze krwią podlanym, buja kwiatem.

Być Tyrteuszem przytem, podnosić, rozgrzewać popadłe w zwątpienie, zobojętniałe serca narodu, niektórych przynajmniej w nim jednostek, to rola co się, nie dziwo, każdej lepszej a świętym ogniem rozpłomienionej, uśmiecha duszy.

Tak było wszędzie: w Niemczech, podczas tyranji napoleońskiej (Rückert, Körner i inni), we Włoszech przed ich rezurekcją (Silvio-Pellico, Leopardi itd.), tak jest u nas (całą piewców i w ogóle artystów naszych, musiałbym wymienić plejadę), tak zaczyna być obecnie we Francji. Epoka klęski, upadku, uciemiężenia właściwą sobie sztuki wytwarza szkołę, tam i owdzie rzecz naturalna indywidualnym charakteru narodowego podległą odcieniom, lecz zawsze i wszędzie jakimści wyższym odznaczającą się polotem, zawsze i wszędzie, mimowolne wywołującą współczucie.

A propos dwóch w przeszłym mym liście zapowiedzianych nowości literackich: „La fille de Roland“ dramat w 4 aktach p. Henryka de Bornier i „Les chants du soldat“ zbiór poezji p. Pawła Dèroulede, które się pośrednio lub bezpośrednio do rzeczonej odnoszą szkoły, à propos tych dwóch nowości, powiadam, rzeźbę i malarstwo odsuwając chwilowo na stronę (pomówienia o nich znajdziemy lepszą sposobność niebawem) dziś rzućmy okiem na poezję wyłącznie, taką jaką ją we Francji ostatnich lat pięciu wytworzyły wypadki.

Dźwięczą w niej dwie nuty przeważnie: jedna na kwincie, bolu, rozpaczy, zniechęcenia (już!), druga na prymie czy na sekundzie, heroizmu, pociechy, nadziei. „Posypmy skroń popiołem! Rozedrzyjmy szaty i płaczmy nad upadkiem ojczyzny!“ kwili tamta. „Zbrójmy się bo oto odwetu przychodzi godzina!“ wojennej pobudki bębni ta taktem. Krzepiąc się lub łagodząc nawzajem, dwie te nuty w jeden sympatyczny akord, wjedną się rycerską wiążą piosenkę. Nie słuchać jej bez pewnego wzruszenia nikomu, Polakowi zwłaszcza, specjalnie.

Dwa się w niej (w poezji dni ostatnich) zarysowują rodzaje: alegoryczny jeden, ten który oddalone niby to malując epoki, za pomocą mniej lub więcej zręcznych aluzyj na korzyść żywotnej dzisiaj wyzyskiwuje je idei. Prosto z mostu drugi, ten który nie zadając sobie trudu szukania gdzieś daleko dogodnej dla obrazu swego kanwy, na tle smutnych ostatniej wojny, zakreśla ton, epizodów.

Rzekłem coś o indywidualnych odcieniach charakteru narodowego, wpływ których na poezji o jakiej mowa, mniej lub więcej dobitnym wyciska się śladem. Indywidualnym odcieniem tym we Francji,— gaskonada. Jest jej może zanadto wiele. Fakta niekoniecznie przedstawiają Prusaków tak zajęczo-tchórzliwymi, jakimi ich patrjotycznej francuskiej pieśni, dać nam chcą zwrotki. Bezstronny historyk wszystkie klęski armji francuskiej w ostatniej wojnie, nie jednej by tylko, jak poezja, dowódzców przypisał zdradzie. Patrząc gołem okiem a nie przez szkiełka szowinizmu (chauvinisme), może by się plamy jakiemi poezja z widoczną lubością kilku jednostek zaczernia sumienia, może by się te plamy na trzydziestomiljonowej sumień znalazła masie. Miłość własna narodu na to nie pozwala. Miłości własnej narodu potrzeba baranków ofiarnych za winy ogółu publiczną ukamienowanych pogardą. Pod „Roncevaux“ („córka Rolanda“) to „Ganelon“ pod Paryżem, to Jules Favre, lub Trochu taki. Wygodniej jest przyznać się do jednej błędnej lub parszywej owcy, niż odkryć światu iż parchy lub kołowacizna całem już prawie owładnęły stadem. Wytykając te usterki nie myślimy sądzić ich za ostro. Balibyśmy się by nam kto starem a znanem „kocioł garnkowi przygania“ nie odrzucił przysłowiem. Gdzież częstsze niż u nas takiego rozgrzeszenia się ogólnego kosztem kilku jednostek, przykłady? Gdzież głośniej brzmiąca przechwałek a fanfaronad lada czem i lada czego, nuta? Bądźmy więc wyrozumiałymi względem innych, jeśli chcemy sobie ich zjednać wyrozumienie. Drugą cechą świeżo rozkwitłej patrjotycznej we Francji poezji, są okropne odwetu w przyszłości pogróżki. Chór poetów żądzę zemsty z pokolenia na pokolenie straszną przekazuje spuścizną. Chór poetów kraj niemiecki jednem olbrzymiem w przyszłości zgorzeliskiem, jednem strasznem, po przejściu mścicieli, dostrzega pustkowiem. No proszę, do jakich to dzikich rezultatów doprowadzić może tak wzniosła jak patrjotyzm, cnota, kiedy w zdrowym sensie, pewnego brak jej przewodnika. Gdyby jednak niedawno, Niemcy w sercach których także żądza odwetu za niejednokrotne najazdy od 1800 do 1813 — gnieździć się miałaby niejakie prawo, gdyby jednak powtarzam Niemcy niedawno, podobną Wandalską rządzić się zechcieli zasadą, czyżby Francja w lat pięć niespełna, zupełnie już ich przechodu zatrzeć zdołała ślady? Wątpimy. Sterczące po komunie rudery wręcz przeciwne podsuwają nam twierdzenie. Bezstronny sędzia w szeregach okupacyjnej armji niemieckiej nie samych by zapewne dopatrzył aniołów. Bezstronny sędzia tam owdzie niejednych popełnionych przez nią ekzakcji a spustoszeń wytknął by zapewne brudy. Były takie w ostatniej, będą i w przyszłej, kto by w niej nie zwyciężył, wojnie. „Gdzie drwa rąbią, tam lecą trzaski“ i bez pewnych cząstkowych, miejscowych bezprawi, ogólne to, wielkie bezprawie wojną nazwane, obejść się nie może. Lecz złe, jakkolwiek konieczne sankcjonować i uznawać prawem, widzi nam się, niegodną poety jest rolą.

Nie wiemy dla czego przychodzi nam na myśl finał psalmu miłości (!) Krasińskiego

„Padać będą, padać kłosy!“

I urywamy nowych do samych siebie unikając zastosowań.

Dramat pana Henryka de Bornier „Córka Rolanda“ (La fille de Roland) do alegorycznego, pośredniego tejże poezji należąc rodzaju, większą pod każdym względem wyrozumiałością, i większym odznacza się spokojem. Roland jeden z sławniejszych przywódzców i synowiec Karola Wielkiego pod Roncevaux przez Saracenów obskoczony, ginie z kwiatem rycerstwa i miecz jego, ów sławny „Durandal“ wpadający w ręce Maurów, najpiękniejszym zwycięstwa ich staje się trofeem. Powodem przegranej nie waleczność wrogów, nie nieostrożność i nie zbytni zapęd chrześćjańskich wojowników a (naturalnie) zdrada. Zdrajcą jest Ganelon, także jeden z przywódzców i także bliski cesarza Karola krewny, który zazdroszcząc Rolandowi wziętości jego i sławy nie spieszy mu z pomocą i w ręce dzikiego wydaje go pogaństwa. Wyrzuty sumienia bardzo moralnie w ślady za popełnionem idą judaszowstwem. Dręczony niemi Ganelon rozpuszcza wieść, iż zginął w jakiejś tam z wrogiem potyczce, i pod przybranem „Hrabiego Amaury“ nazwiskiem, gdzieś na pograniczu marchji saksońskiej, w odludnem zamczysku, resztek skalanego dowlec idzie żywota. Ma syna „Gerald“ imieniem, którego wyhodowuje przykładnie niezłomnych zasad rycerskiem mleczywem. Gerald nie zna przeszłości ojcowskiej, zdrajca Ganelon ani mu na myśli i istotnie hrabiego Amaury sądzi się być synem. Harcując go, na ciągłe najazdy dziczy, narazonych imperji Karolowskiej kresach, zdarza mu się z rąk rozbójników saksońskich, wybawić młodą i piękną dziewicę, która z pobożnej gdzieś do Wetzlar'u wracając wycieczki przez rozbójników onych napadniętą i w ciężką zabraną została niewolę. Opatrzność chce by dziewicą tą była Berta, jedyne zdradzonego niegdyś Rolanda dziecię. Dramat stworzony. Syn zdrajcy, córka ofiary, wzajemną ku sobie pałać zaczynają miłością. Berta chce, by Gerald za nią na dwór cesarski spieszył do Akwizgranu i by tam Karola Wielkiego pozwolenie na małżeńskie z nią wyjednał śluby. Gerald niczego więcej nie pragnie, lecz ojciec jego hrabia Amaury (Ganelon) któremu podobny związek, comme de raison, okropnem zdaje się być świętokradztwem, całą potęgą swej rodzicielskiej powagi, marzonemu przez młodych sprzeciwia się projektowi, pod pierwszym lepszym pretekstem Bertę wyprawia do Akwizgranu a synowi, w domu, przy sobie, nieruchomym zostać rozkazuje głazem.

To pierwszy zawiązkowy epizod sztuki.

(D. n.)

POLEMIKA.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego.— Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

E. Fontille. „Adam Mickiewicz.“ Kraków 1863.

W. Cybulski. „Dziady Mickiewicza.“ Poznań 1863.

K. Estrejcher. „Mickiewicz Adam.“ Rozprawa umieszczona w Rozmaitościach lwowskich z r. 1859.

„Poezja polska i jej koryfeusze.“ Rozprawa umieszczona w Dzienniku literackim r. 1864.

„Mickiewicz, Krasiński, Słowacki.“ Rozprawa zamieszczona tamże tego roku.

„Mistycyzm w poezji.“ Rozprawa drukowana w Nowinach r. 1854.

„Antoni Malczewski, jego żywot i pisma wydał Aug. Bielowski.“ Lwów 1843.

Wojcicki K. Wł. „Cmentarz Powązkowski.“ Warszawa 1855—58.

A. Małecki. „Juliusz Słowacki.“ Lwów 1866—67 2 tomy.

St. Tarnowski. „Profesora Małeckiego Juliusz Słowacki.“ Rzecz umieszczona w Przeglądzie polskim krakowskim r. 1867.

K. Widman. „Józef Korzeniowski.“ Lwów 1868.

J. I. Kraszewski. „Władysław Syrokomla.“ Warszawa 1863.

H. Mierzeński. „Wspomnienie o Władysławie Syrokomli.“ Rozprawa drukowana w Dzienniku literackim r. 1864.

„Urywki z pamiętników Wł. Syrokomli.“ Umieszczone w Dzien. liter. r. 1870.

A. Bełcikowski. „Irydjon Krasińskiego.“ Kraków 1871.

Jul. Klaczko. „Poezja polska i poeta bezimienny w XIX. wieku.“ Monografja drukowana w Dzien. liter. r. 1862.

A. Mickiewicz. „Literatura słowiańska.“ (Korzystałem ztąd w przedmiocie Nieboskiej komedji Krasińskiego.).

K. Estrejcher. „Korzeniowski Józef, pisarz sceniczny i jego krytycy.“ Rozprawa umieszczona w Rozmaitościach lwowskich r. 1858.

„Pisma Dominika Magnuszewskiego.“ Rozprawa drukowana w Dzien. liter. r. 1857.

Antoniewicz K. „Poezje“ (poprzedzone wiadomością o życiu i pismach autora.) Kraków 1861.

L. Rettel. „Antoni Górecki.“ Rozprawa zamieszczona w Dzien. liter. r. 1868.

„Stefan Garczyński,“ rozprawa drukowana tamże r. 1860.

„Poezje K. Gaszyńskiego.“ Lipsk 1868. (Tu na czele mieści się życiorys poety.)

„Maurycy Gosławski,“ rozprawa drukowana w Dzien. liter. 1860.

K. Estrejcher. „Tłumacze polscy poezji Jerzego Gordona Byrona.“ Rozmaitości lwowskie z r. 1859.

St. Tarnowski. „Romans polski w początku XIX. wieku.“ Kraków 1871.

M. Grabowski. „Literatura i krytyka.“ Wilno 1837—40.

K. Estrejcher. „Józef Ignacy Kraszewski.“ Fejleton Kraju, Kraków 1871.

Tenże. „Józef Ignacy Kraszewski.“ Rozmaitości lwowskie z r. 1858.

„Zygmunt Kaczkowski,“ rozprawa drukowana w Nowinach lwowskich r. 1854.

(Romanowicz T.) „Maurycy Mochnacki,“ studjum biograficzne. Dzien. liter. z r. 1863 i 1864.

Łoziński Wład. „Karol Szajnocha.“ Lwów. Dzien. literacki, 1868.

„Julian Bartoszewicz, jego żywot i prace.“ Kraków 1871.

Estrejcher K. „Ambroży Grabowski.“ Lwów. Kółko rodzinne. 1860.

(Tenże). „Ambroży Grabowski.“ Lwów. Dziennik literacki 1868.

Hankiewicz K. „Życie, pisma i system filozoficzny Bronisława Trentowskiego.“ Stanisławów 1871.

Estrejcher K. „Libelt Karol.“ Lwów. Dziennik liter. 1864.

Z. L. Dębicki. „Antoni Zygmunt Helcel.“ Kraków. Przegląd polski 1870.

„Pisma Józefa Supińskiego. Lwów 1872.“ (Tu znajduje się dość obszerny życiorys autora.)

Bartoszewicz J. „Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku.“ Petersburg 1853—57, 3 tomy. Czerpałem ztąd wiadomości o St. Naruszewiczu, Wł. Łubieńskim i Ign. Krasickim.

Siemieński L. „Portrety literackie.“ Poznań 1865—68, 3 tomy. Zbierałem tu niektóre szczegóły o J. Dantyszku, M. Reju, M. Kromelze, W. Kochowskim, A. Morsztynie, K. Węgierskim, M. Wirtemberskiej, A. Mickiewiczu, K. Koźmianie, J. Muczkowskim, Z. Krasińskim, J. Lelewelu, M. Balińskim, K. Balińskim, B. Zaleskim, S. Goszczyńskim, A. Fredrze, Fr. Morawskim, St. Trembeckim, Fr. Wężyku, A. E. Koźmianie i K. Gaszyńskim. Wiele ciekawych wiodomości zaczerpnąłem także z rozprawy o „Obozie klasyków.“

Po wyliczeniu tych główniejszych źródeł, zupełnem aż do niewielu, których przy pisaniu obecnej obrony na razie odszukać nie mogę (n. p. rozprawy ks. Hołowińskiego o T. Młodzianowskim), wstrzymuję się od szczegółowego przywodzenia stukilkudziesięciu mniejszych jeszcze rozprawek lub też tylko króciutkich wzmianek o różnych pisarzach naszych epoki najnowszej i ich dziełach, rozsianych po czasopismach a szczególniej w „Dzienniku literackim.“ Nadmienię tutaj tylko, że znane mi były podczas pracy nad moim „Zarysem.“

Wiadomości biograficznych czerpałem także z własnych wspomnień autorów, w szczególności M. Stryjkowskiego, Paska, Fr. Karpińskiego, W. Bogusławskiego, J. U. Niemcewicza, Kaj. Koźmiana, A. Kitowicza, K. Brodzińskiego, J. Wybickiego, J. Lelewela i R. Piotrowskiego.

Uprzejmie na prośbę moją udzielili mi wiadomości o sobie: A. E. Odyniec, E. Ziemięcka, J. Szujski, A. Giller, St. Chlebowski.

Szczegóły o A. Bielowskim otrzymałem od Wgo Twardowskiego, urzędnika zakładu im. Ossolińskich, o Cypryanie Godebskim i literaturze legionów od ś. p. Ksawerego Godebskiego, o W. Żmurce od Wgo dra O. Fabiana, o W. Polu i K. Szajnosze od Wgo Kar. Wilda.

Rzecz o Woroniczu i Piramowiczu napisałem na podstawie własnych rozpraw, z których ostatnia umieszczona w czasopiśmie „Szkoła“ r. 1869.

Szkic politycznych dziejów narodu naszego, począwszy od wiadomości o Słowianach, nakreśliłem podług Dziejow Polski J. Szujskiego; to co mówię o wychowaniu i oświacie w dawnej Rzeczypospolitej, na podstawie Historji szkół w Koronie i W. ks. Litewskiem J. Łukaszewicza; obraz rozwoju filozofji w Polsce podług rozprawy Fr. Krupińskiego w dziele “Historja filozofji w zarysie,“ Warszawa 1863. Rozdział o matematykach i przyrodnikach wieku XIX. ułożyłem wreszcie podług wskazówek śp. St. Chlebowskiego.

Prawie cały materjał bibljograficzny zawarty w moim „Zarysie,“ począwszy od M. Reja z Nagłowic, zebrałem sam z bezpośrednich źródeł w bibliotekach: nar. im Ossolińskich i Poturzyckiej tudzież w czytelni i księgarni p. Karola Wilda. Gdzie to było niepodobnem, tam polegałem na bibljograficznych datach F. Bentkowskiego, A. Jochera, F. M. Sobieszczańskiego i K. Estrejchera.

Jak z powołanych monografij, opracowań, rozpraw i artykułów skorzystałem w mojej książce, tego tutaj w szczegółach wyjaśniać nie myślę. Komu nie tajno, jak się powinno czerpać ze źródeł czy to bezpośrednich, czy pośrednich; kto zna mój „Zarys“ i ten szereg prac, na których on się opiera, ten zapewne takiego wyjaśnienia nie będzie potrzebywał. Nadmienię tylko, żem się nie bawił w wypisywanie z tych lub owych książek, żem nie gromadził, byle tylko wiele uzbierać; ale sumiennem usiłowaniem mojem było zachować wymierność, a przydatne i potrzebne szczegóły, jeżeli pochodziły z kilku różnych źródeł, podawać po dokładnem ile możności rozpatrzeniu i przetrawieniu. Założenie mego „Zarysu“ wymagało nadto, ażeby o pewnych utworach mówić z uwględnieniem ich treści i charakteru, tudzież o jednych pisarzach powiedzieć więcej, o drugich mniej. Co do pierwszego łatwo się z samej książki mojej przekonać, jak dalece wczytać się umiałem w ten lub ów utwór; co do drugiego, wypadło nieraz z licznych szczegółów o dotyczącym pisarzu, zawartych w monografjach lub rozprawach, podać tylko niewiele, czasem bardzo niewiele.

Jak się wywiązałem z tych zakreślonych sobie zadań, nie wiem; ale to wiem, że chodziło mi zawsze o sumienność i dokładność. Przekonać się o tem może czytelnik choćby tylko z zawartego w moim „Zarysie“ bibljograficznego materjału. Przytaczając tytuły dzieł z wieku XVI. i XVIII, zachowałem wszędzie pisownię oryginalną, to jest taką, jaką znalazłem w pierwszych edycjach, a zachowałem tę pisownię wiernie aż do najdrobniejszych jej właściwości. aż do długiego *s* i *a* z kreską, o które osobno drukarnia p. Manieckiego postarać się musiała, aż do widocznych nawet omyłek druku w powołanych tytułach! Nieraz, kiedy chodziło o sprawdzenie tych lub owych szczegółów i dat, których wątpliwość nasunęła się dopiero śród drukowania „Zarysu,“ arkusze zalegały nawet tygodniami w korekcie; dla tej też głównie przyczyny tak długo, bo z górą lat cztery, drukowała się książka o czterystu kilkudziesięciu stronicach!

Nie przytaczam tego w żadnym innym celu, jeno ażeby okazać, że mi nie chodziło tylko o zrobienie byle czego i byle jako, ale że w danych warunkach usiłowałem sumiennie rzecz swoją opracować.

Jeżeli przeto, jak mniemam, godziwie i uczciwie korzystałem z różnych i licznych, nawet bezpośrednich źródeł, czyż można obwinić mnie z czystem sumieniem, że to wszystko, co się w szczegółach zawiera w moim „Zarysie,“ jest tylko skróconym wyciągiem spisanych przezemnie prelekcyj p. dra A. Małeckiego? A w jakiemże świetle ukaże się owe obwinienie, jeżeli dodam, że znaczna liczba zacytowanych publikacyj, które miałem pod ręką, pochodzi właśnie z czasu, kiedy już przestałem być uczniem uniwersytetu i nie miałem zatem sposobności korzystania z uczonych wykładów szanownego mego profesora?

(D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Nilfahrt bis zu den Zweiten Katarakten. Ein Führer durch Aegypten und Nubien. Von Anton Graf von Prokesch-Osten, Sohn. Mitt Karten, Plänen und Abbildungen in Lithographie und Holzdruck. Leipzig — Brockhaus. 1875.

Przyroda i historja złożyły się na to, że Egipt na nas, mieszkańców Europy, wywiera szczególny urok. Położony we wspaniałym klimacie, przy ciągle prawie wypogodzonem niebie, posiada nader bogatą Faunę i Florę i jest zamieszkały przez naród, pod względem sposobu życia, obyczajów i zwyczajów bardzo ciekawy. Z drugiej znów strony, Egipt jest kolebką ludzkiej cywilizacji, gdzie na każdym kroku spotkać się można z poważnemi pomnikami, po których niszcząca ręka czasu przeszła niepostrzeżenie. Od czasu zbadania Egiptu przy końcu zeszłego stulecia przez uczonych francuskich, biorących udział w wyprawie Bonapartego, wzmagała się coraz bardziej chęć poznania bliżej tego dziwnego kraju a źródła historyczne i przedmioty archeologiczne także odkryte, rzuciły nowe światło na historję cywilizacji. Powstała więc w Europie prawie cała literatura, w której Francuzom bezprzecznie oddać należy pierwszeństwo. Książkę pana Prokesza czytać można z wielką nawet przyjemnością; czytując odbywamy sami niejako tę podróż; tak pociągającym stylem opisał nam autor wiejskie widoki, pomniki nietylko zewnętrznie ale i pod względem historycznym, miasta i sposób życia narodu zamieszkującego Egipt; wszystko to przesuwa się przed oczyma naszemi jakby w panoramie.

— Des Landmanns Gaste in Haus und Hof, in Wiese und Land. Von Julius Lippert. Prag — 1875.

Książka mająca na celu popularyzowanie nauk przyrodniczych zasługuje zawsze na naszą uwagę. Zajęcie wzmaga się jeszcze, jeżeli spopularyzowanie ma nie tyle teorję ile praktyczne zastosowanie na celu. Przez niewiadomość zasadniczych praw natury, wycinając bez planu lasy nasze, zdziesiątkowaliśmy potrzebne zwierzęta, a pozwoliliśmy nad miarę rozmnożyć się szkodliwym. Tem postępowaniem zwichnęliśmy niejako harmonję w przyrodzie, a czas już najwyższy do sprowadzenia na powrót tej równowagi, do czego powyższa książka posłużyć może. Przy tej sposobności zwracamy uwagę czytelników naszych na dzieło tutejszego prof. p. Weigla poświęcone temu samemu przedmiotowi a traktujące o „Szkodnikach naszych pól, ogrodów, lasów i łąk“.

— Die Fortschritte der Kultur, von Dr. K. Th. Richter. Prag — 1874.

Z niewiadomych nam powodów dzieło to profesora uniwersytetu pragskiego, przez długi czas zatrzymane było przez władzę. Zawiera ono pracowicie zebrane wiadomości o żywiołach kultury, żywności, odzieży, mieszkaniach, gospodarstwie i życiu umysłowem; dalej spotykamy porównanie wszystkich wystaw powszechnych od londyńskiej 1851 aż do ostatniej wiedeńskiej 1873 z uwagami nad sławnym krachem.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Mimo „złych czasów“ jak powszechnie powtarzają, ruch na polu literatury bezustannie się wzmaga. Okazuje się z tego, że to cośmy utrzymywali zakładając „Tydzień“, mianowicie, że Galicja

znużona bezowocną polityką łaknie moralnego pożywienia, nie było bezpodstawne. Pism literackich mamy teraz więcej nawet może, niż potrzebujemy. W Stanisławowie powstały dwa pisma polityczno-komunalne, we Lwowie literaci zakładają księgarnię spółkową, w Stanisławowie obok księgarni Milikowskiego powstaje nowa księgarnia, a w Nowym Sączu zakłada p. Nowolecki także księgarnię jako filję dotychczasowej w Krakowie. Literaci zatem nie powinni w tym roku skarżyć się na „złe cz: sy“.

— Minionego poniedziałku na dochód funduszu emerytalnego stow. członków orkiestry teatralnej, pod dyrekcją p. Szirera, amatorowie wykonali w teatrze lwowskim sławną „Mszę Rossiniego.“ Mimo dość zaciętych intryg zakulisowych, bez których ponoś nic się u nas obejść nie może, wykonanie całe wypadło bardzo dobrze. Przy tej sposobności musimy wynurzyć nasze zdziwienie, że lwows. Towarzystwo muzyczne było przeciwne temu koncertowi. Czy wolno wiedzieć z jakich powodów? Wszakże Tow. muzyczne jest od tego, aby muzykę na każdym kroku popierało.

— Koncert kwartetu florentyńskiego odbędzie się dziś 18. kwietnia, w sali ratuszowej, pod dyrekcją p. Beckera. Program krótki, lecz świetny. 1. Kwartet A-mol op. 9. Vollkmana. 2. Kwartet Es-dur op. 127. Beethovena. 3. Kwartet A-moll op. 41 Schumanna. Wykonają pp. Becker, Hiostoni, Mazi i Kilpert.

— Tytuł członka Akademji umiejętności, był widać nadużywanym, skoro sekretarz tejże następujące ogłasza pismo: „Wobec często po pismach publicznych napotykanych tytułów: „Członek Akademji umiejętności w Krakowie.“ Zarząd Akademji poczuwa się do obowiązku oświadczyć, że ci tylko byli członkowie byłego Towarzystwa naukowego mają prawo nosić tytuł „członków nadzwyczajnych Akademji“, którzy wskutek odezwy prezesa Akademji z dnia 23 Grudnia 1872 przyjęli czynny udział w pracach komisji i wydziałów i jako tacy na liście członków nadzwyczajnych w Roczniku Zarządu Akademji na rok 1874 umieszczeni zostali“ W Krakowie dnia 12 Kwietnia 1875. W imieniu zarządu: *Dr. J Szujski*, sekretarz.

— Konkurs dramatyczny warszawski. P. Sergjusz Muchanow, prezes dyrekcji teatrów warszawskich w sprawie tego konkursu ogłasza zawiadomienie następujące: „Jenerał-Gubernator Warszawski na przedstawienie Prezesa Dyrekcji Teatrów Warszawskich zezwolić raczył na ustanowienie przy tejże Dyrekcji i pod prezydencją jej Prezesa konkursu dzieł dramatycznych. Za podstawę materjalną do konkursu w r. bieżącym służyć ma fundusz złożony przez hrabiego Jana Aleksandra Fredrę (syna), w sumie rs. 300 i zwiększony ofiarami innych osób do wysokości rs. 900. Prezes Dyrekcji Teatrów, wyjednawszy wzmiankowane wyżej zezwolenie i zatwierdzenie listy członków proponowanej przez siebie Komissji konkursowej, zaprosił odezwą z dnia 22 Marca (3 Kwietnia) do swego mieszkania członków tej Komisji, której skład jest następujący: Prezydujący, Sergjusz Muchanow. Członkowie, Panowie i Panie: Bogusławski Władysław, Chłapowska (Modrzejewska) Helena, Kaszewski Kazimierz, Kenig Józef, hr. Kossakowski Stanisław, Królikowski Jan, Leo Edward, Popiel Romana, Rapacki Wincenty, Szymanowski Wacław. Na odbytem w dniu 5 Kwietnia (24 Marca) pierwszem posiedzeniu komisji uchwalone zostały następujące warunki konkursu: Z funduszu 900 rs. przeznaczonego na nagrody ustanawiają się dwa premja, w wysokości rs. 600, za dzieło scen czne (komedję lub dramat), bez względu na rozmiary, najlepsze z nadesłanych, z temi jednak zastrzeżeniami: 1) że utwór odpowiadać będzie warunkom estetycznym i scenicznym, i 2) że pisany będzie z baczeniem, aby mógł być przedstawiony na scenie warszawskiej. Przy równych zaletach sztuk współubiegających się, dzieło większych rozmiarów ma pierwszeństwo do nagrody. Druga nagroda wynosząca rs. 300 przyznaną będzie najlepszemu po pierwszem dziełu, zawsze w granicach powyższych warunków. Ostateczny termin nadsyłania sztuk, oznacza się do 31go Grudnia 1875 r., w którym to dniu po godzinie 12tej w południe, konkurs uważa się za zamknięty, i sztuki nadal przyjmowane nie będą. Sztuki nadsyłane być mają pod adresem „Komisji konkursowej“, do bióra Dyrekcji Teatrów Warszawskich. Do nadsyłanego dzieła dołączona być winna koperta zapieczętowana, na wierzchu której ma być przepisany z rękopisu tytuł sztuki, a wewnątrz oprócz tego samego tytułu imię i nazwisko autora, lub jego pseudonym wraz z dokładnym adresem. Pożądanem byłoby wcześniejsze nadsyłanie sztuk dla ułatwienia pracy komisji konkursowej. Prezydujący w komisji, *Sergiusz Muchanów*. Sekretarz komisji, *Władysław Bogusławski*.

— Dramat Rapackiego „Wit Stwosz“ będzie temi dniami przedstawiony pierwszy raz w Warszawie. — Hr. Wincenty Bobrowski, bawiący obecnie w Warszawie napisał pięcioaktową komedję pt. „Solidarni“. Pisma warszawskie zapewniają, że utworowi temu nie brak dowcipu i warunków scenicznych.

— W ciągu bieżącego roku będziemy mieli jeszcze dwie wystawy dzieł sztuki: jedną w Haadze, drugą w Brukseli. Wystawa pierwsza będzie trwała od 16. maja do 26. czerwca, a termin do przysyłania utworów upływa z dniem 1. maja.

— Przy sposobności czterowiekowego jubileuszu Michała Anioła, zakład artystyczny E. Arnolda w Dreźnie, urządził zbiorową wystawę wszystkich niemal dzieł tego wielkiego mistrza. Rzecz naturalna, że nie są to oryginały, ale fotografje, sztychy i gipsowe odlewy.

— W tomie drugim: Premiers Lundis, Paris M. Levy (tak zwane Poniedziałki Saint-Beuve'a) znajduje się studjum o Mickiewiczu.

— Magistrat miasta Berlina przeznaczył obecnie odpowiedni fundusz na zewnętrzne przyozdobienie nowo wzniesionego ratusza. Rzeźbiarzowi Calandrelli poruczono wykonanie 40 posągów i popiersi rozmaitych znakomitości niemieckich, w rzędzie których znajdują się także: sławny malarz i rysownik polski Daniel Chodowiecki, rodem z Gdańska którego rodzina obecnie zamieszkuje Galicję, i Jan Ernest Gockowski, zasłużony przemysłowiec z czasów Fryderyka IIgo, syn szlachcica polskiego, urodzony w r. 1710 w Chojnicach.

— Gladstone, jak powiadają, pisze dzieło, mające odeprzeć sławną księgę Renana „La vie de Jésus.“

— Danae, słynny obraz Tycjana, który należał do hrabiego de Buoncompagni, obecnie sprzedanym został cesarzowi rossyjskiemu za sumę 600.000 fr.

— Teatr „Adelphi“ w Londynie przedstawił po raz pierwszy z bardzo wielkiem powodzeniem dramat „Nikolas Nickleby“ przerobiony z romansu Dickensa, znanego pod tym samym tytułem.

— Gounod zawarł umowę z wielką Operą paryską na podstawie której zobowiązał się napisać do przyszłego roku nową czteroaktową operę dramatyczną.

— Verdi przyjedzie d. 17. czerwca rb. do Wiednia aby w Towarzystwie muzycznem wykonać swoją „Mszę“.

— W Wenecji powstanie wkrótce Konserwatorjum muzyczne, pod nazwiskiem „Liceo Marcello“, tak nazwane na cześć słynnego kompozytora weneckiego, twórcy licznych dzieł z działu muzyki religijnej.

Wynalazki i odkrycia.

— Donosiliśmy swego czasu na tem miejscu, że kapitan amerykański Boyton wynalazł przyrząd do pływania tak znakomity, że nie kilka godzin, ale kilka dni nawet może pływać nie narażając się na śmierć. Przyrząd utrzymuje go na powierzchni wody, a torebka z żywnością chroni od śmierci głodowej. Niejednemu z czytelników całe to doniesienie mogło się wydać humbugiem. Tymczasem oficjalne telegramy donoszą z Paryża pod d. 12. bm. że Boyton przepłynął szczęśliwie w swoim przyrządzie cieśninę Calais i to w 17 godzinach Przyrząd jego jest kauczukowy, wydęty powietrzem.

— Z Nevady donoszą, że odkryto tam nową kopalnię srebra, która jest tak obfita, że jedna beczka rudy zawiera w sobie srebra za 1200 dolarów. Geologowie obliczają cały zapas rudy na 50 miljonów dolarów.

— Nadzwyczajnej doniosłości są ostatnie odkrycia znanego badacza angielskiego, Jerzego Smith. Oto powiodło mu się odczytać, spisaną pismem klinowem, na zabytkach assyryjskich, całą opowieść o powstaniu świata. Opowieść rozpoczyna się tem, że przed stworzeniem swiata, w naturze panowały tylko chaos i zamięszanie. Chaos został pokonany przez potęgę niewieścią, nazwiskiem Tisalat i Tiamat. Następuje upadek szatana. Złe duchy zostają pokonane, a bogowie, zupełnie jak w biblji, stwarzają świat stopniowo i każdym razem oglądają swoje dzieło uważając je za dobre. Ostatniem dziełem był człowiek, który prosto chodzi, jest wolnym od grzechu i ma mowę. Bóg ostrzega człowieka, aby był dobrym, ale ten dał się skusić, skutkiem czego został przez Boga przeklęty. Ztąd pochodzi wszystko złe.

Przemysł.

— W fabryce Kruppa w Essen, odlano teraz działo, którego pocisk ma w średnicy 35 centymetrów. Do tej chwili pocisk największego działa wynosił $30^{1}/_{2}$ cent. Kula ta przebijała na 1000 metrów, pancerz dziesięciocalowy wraz ze ścianą drewnianą, która się za pancerzem znajdowała. Nowa ta armata ma tej samej sztuki dokazać na 1700 metrów. Straszny ten potwór jest przeznaczony do jednej z nadbrzeżnych baterji niemieckich.

— Dyrekcja międzynarodowej wystawy w Filadelfji zawiadamia, że otwarcie wystawy w przyszłym roku nastąpi nie 19. kwietnia, jak pierwotnie ustanowiono, ale 10. maja, zamknięcie zaś nie 19. września, ale 10. października.

Zjawiska natury.

— Trzęsienie ziemi, które z 17 na 18 marca dało się czuć we Włoszech, było nierównie silniejsze, jak w pierwszej chwili sądzono. Najgwałtowniejsze było w Rimini, gdzie wprawdzie ludzie nie poginęli, ale za to popękały mury i pozawalały się liczne kominy. Silniejsze jeszcze trzęsienie ziemi nastąpiło 11. lutego rb. w Guadalaxara, w Meksyku, gdzie pozawalały się domy i kościoły. Trzęsienie rozciągnęło się aż do San Cristoval, gdzie niemało osób postradało życie. Równocześnie nastąpił wybuch wulkanu Sebauco.

Statystyka.

— Rybołówstwo przyniosło Francji w r. 1873—79,817,029 fr. podczas gdy w r.1872 tylko 74,035,244 fr; co wykazuje różnicę korzystną na 5,781.784 fr.

— Ilość patentów wydanych na rozliczne wynalazki w Stanach Zjednoczonych w roku 1874 wynosi 12.864. W Anglji w tym czasie wydano ich 2.906.

— Spółka omnibusowa w Paryżu przewiozła w 1874 r. 127,734.422 pasażerów. Rokiem pierwej miała ona tylko 108,754.000 klientów, a w 1869 tylko 116,788.000. Daje to pojęcie o ruchu tego olbrzymiego miasta.

— Obliczają, że w Londynie znajduje się 36 towarzystw muzycznych amatorskich; 29 kościołów protestanckich a 16 katolickich mających wyborną muzykę; 107 sal koncertowych drugorzędnych. Ilość nauczycieli muzyki zamieszkujących to miasto na 2.000; na prowincji zaś ma być ich do 5.000. Sto dwadzieścia miast prowincjonalnych posiada przynajmniej jedno towarzystwo muzyczne, — wiele zaś innych po sześć i siedm takich towarzystw. W 1875 odbyło się w Londynie około 650 koncertów i zgromadzeń muzykalnych różnego rodzaju — oraz 200 przedstawień angielskich i włoskich. Ilość najnowszych publikacyj muzycznych poszła do cyfry 3500, w której 1000 pieśni, 200 utworów na dwa głosy, 1200 na fortepian, 250 tańców, 200 śpiewów religijnych, reszta zaś przypada na organ, skrzypce, harfę itd.

Wojskowość.

— Armja turecka w czasie pokoju posiada 142.874 oficerów i żołnierzy i 29650 koni. Na przypadek wojny zaś wzrosnąć może ta liczba do 199,155 oficerów i żołnierzy i 54,532 koni. Artylerja jej liczy 2184 armat i 84 kartaczownic. Rezerwa regularna i nieregularna wynosi 800.000 ludzi. Co zaś jest rzeczą ciekawą to, że kawalerja jest zorganizowaną na sposób francuski, a artylerja na pruski.

— Rząd niemiecki będzie utrzymywał na Renie pancerne łodzie kanonierskie, w celu lepszego zasłonięcia swoich twierdz nadbrzeżnych. Dwie łodzie zostały już zbudowane i uzbrojone. Wkrótce rozpoczną próby w strzelaniu w pobliżu Kolonji.

ROZMAITOŚCI.

— W Wiedniu zawiązało się za inicjatywą panny Marji Tluczorsz Towarzystwo pań w celu zapobiegania coraz to większemu szerzeniu się damskich strojów głowy ze sztucznych włosów. Statystyka lekarska we Francji skonstatowała fakt, że liczba wypadków febry mózgowej i tym podobnych chorób, od czasu noszenia przez panie na głowie ogromnych fryzur sztucznych, powiększa się u nich o 72 procent. Nadzwyczajnie też wzmógł się ostatniemi czasy handel włosami ludzkiemi. Coresp. Havas podała o nim bardzo zajmujący artykuł, z którego wyjmujemy następujący ustęp: Na początku tego wieku jeszcze noszenie cudzych włosów poczytywane było za hańbę, podczas, gdy dziś brzydki ten zwyczaj zakorzenił się nawet po wsiach. Aż do roku 1850 funt włosów kosztował 4 franki. Zaledwie jednak cesarzowa Eugenja zasiadła na tronie francuskim, podniosła się cena włosów ludzkich do 8 i 10 franków za funt. Od roku 1865 moda noszenia włosów stała się prawdziwą epidemią. Dziewczęta niemieckie ucinały sobie swe długie, piękne warkocze, ażeby na wzór pań francuskich ubierać głowę we włosy z trupów. W r. 1866 cena tychże podniosła się do 20 franków, następnego roku do 35 franków, w r. 1868 do 45 a w roku 1870 do 55 franków. Rozumiemy tu ceny włosów surowych; w wyrobie fryzjerskim kosztowały one podwójnie i potrójnie. Najpiękniejsze włosy pochodzą ze zmarłych kobiet w prowincjach francuskich Auvergne i Bretagne. Jak tylko umrze tam jaka kobieta, wnet ucinają jej włosy, ażeby je spieniężyć. Warkocze żyjących Bretonek oczywiście w jeszcze wyższej są cenie; blondynki n. p. dostają za nie częstokroć po 1,500 do 2,000 franków! Po wielkiej wojnie jednak panie francuskie odzwyczajać się zaczęły od tej szkaradnej mody i jest nadzieja, że zaprzestaną z czasem zupełnie używania sztucznych włosów.

— Niedawno umieściliśmy obszerną rozprawę o „Djamencie". Była tam mowa także o djamencie „Sancy." Teraz dzienniki paryskie opowiadają o tym klejnocie następującą anegdotę, którą dla uzupełnienia naszej rozprawy za niemi powtarzamy: „Klejnot ten wydaje się z daleka pospolitym krzemieniem i największy nawet znawca nie odrazu mógłby poznać w nim brylant, mający wartości 1,500,000 franków. Stara księżna Demidow kazała sobie zrobić z niego spinkę. Pewnego razu, zwiedzając Luwr w towarzystwie męża swego i Juliusza Janina, księżna zdjęła szal i oddała ową kosztowną spinkę do schowania Janin'owi, który włożywszy djament do kieszeni swej kamizelki, zapomniał wkrótce, że nosił przy sobie skarb miljonowy. Nie pamiętali też o tem i właściciele djamentu. Nazajutrz dopiero księżna spytała męża, czy Janin zwrócił mu spinkę. Książę dał odpowiedź przeczącą, skutkiem czego posłano do sławnego krytyka, żądając zwrotu djamentu. „Najłaskawsze nieba! — zawołał Janin, — ależ ja wcale nie wiem, co się z nim stało!" Po długich poszukiwaniach przypomniał sobie nakoniec, gdzie go umieścił; lecz kamizelkę zabrano do prania, i można było lękać się, że „Sancy" na zawsze został stracony. W największem przerażeniu Janin wraz z księciem Demidow udali się niezwłocznie do praczki. „Czy znalazłaś co w mej kamizelce? — spytał Janin. „Nic — odpowiedziała kobieta — ale prawda.. znalazłam kawałek szkła, w rodzaju korka do butelki".—„Gdzież on jest?"— „Tam na podwórzu bawi się nim mój chłopiec". Janin wybiegł na dziedziniec i wyrwał z rąk malca djament, poczem ocierając obfity pot z czoła, wyszepnął: „Sądzę, że mi włosy zbielały".

— Aleksander Dumas ojciec wybudował sobie w odległości mniej więcej dwumilowej od Paryża, w bliskości Louveciennes, niegdyś posiadłości pani Dubarry, pomiędzy Marly i St. Germain przepyszny zameczek „Montechristo" w czarującej okolicy i przebywał w nim. Otóż pewnego dnia zjawia się tam szewc i przedstawia mu rachunek wynoszący 300 fr. Chociaż słynny autor „Montechrista" nie wydał tyle na wystawienie swego fantastycznego mauryta ńsko-gotyckiego zameczku, co niegdyś Ludwik XV na budowę i urządzenie pawilonu dla Dubarry w Louveciennes, który połknął okrągłą sumkę sześciu miljonów fr., w każdym razie jednak dosyć, ażeby wpaść w kłopotliwe położenie, pomimo olbrzymich honorarjów, które mu wówczas za feljetony, romanse i dramaty płacono. To też, owego pięknego letniego dnia, gdy szewc z rachunkiem się zjawił, w portmonetce Dumasa były zupełne pustki. „Nie mam dzisiaj pieniędzy— odpowiedział rzemieślnikowi — musisz pan zaczekać, aż lepsze czasy dla mnie i dla naszej pięknej Francji nadejdą." — „Pięknie to mówić — odparł na to szewc—ale panie Dumas ja na te przejażdżki z Paryża do Montechristo i napowrót tracę czas, mający wartość pieniędzy, i pieniądze nawet na omnibus do Saint-Germain" — „Masz pan zupełną słuszność, — odrzekł na to potakująco poeta.—Sama sprawiedliwość wymaga, ażebym wam koszta te zwrócił. Przyjmij więc pan tych oto dziesięć fr. za próżną fatygę, a tyleż otrzymasz każdym razem, gdy tu przybędziesz nadaremnie". Szewc chętnie przystał na tę ugodę, która mu przedstawiała możność odbywania od czasu do czasu przyjemnych, a nawet korzystnych przejażdżek, za darmo. W trzy dni przybył tedy znowu i dostał dziesięć franków, wciąż bowiem jeszcze architekci-tapicerowie itd. worek Dumasa wypróżniali. Ta sama historja z szewcem, co trzy dni regularnie się powtarzała, tak że wreszcie po upływie kilku miesięcy Dumas zapłacił blisko 500 fr. za owe nadaremne przejażdżki szewcowi, wciąż pozostając mu jeszcze dłużnym 300 fr. Wreszcie jednak uprzykrzyła się rzemieślnikowi ta ciągła latanina i posłał woźnego, ażeby wyegzekwował rachunek. Skutek był ten sam. Woźny dostawał za każdą bezowocną podróż 10 fr. i miał się z tego bardzo dobrze. Pewnego dnia jednak, gdy Dumas już do tego nieuniknionego woźnego przywykł, pojawia się zamiast niego inny, z prawdziwie grabarską miną... „A cóż porabia pański kolega?" zapytał poeta żywo sięgając do kieszeni po sakramentalne 10 fr. — „Ach, panie Dumas, — odrzekł zapytany melancholijnie — kolega mój umarł nagle, zostawiając żonę i dziesięcioro dzieci w najgłębszej nędzy. Czy nie mógłbyś pan, znany ze swej wspaniałomyślności, dać 15 fr. na koszta pogrzebu. Na szczęście nie kosztuje więcej pochowanie biednego woźnego". Na te słowa Dumas sięgnął po raz drugi do kieszeni, wydobył dwa razy tyle ile od niego żądano, to znaczy wszystko co w tej chwili miał przy sobie i rzekł z godnością: „Oto jest trzydzieści franków, mój stary! Każcie za to dwóch woźnych pochować!" Petent oddalił się wśród tysiącznych dziękczynień. Wkrótce potem zapłacił wreszcie nasz romansopisarz rachunek szewca. Zajrzawszy weń, przekonał się, że figurujące tam buty myśliwskie i tureckie pantofle nieco za drogo go kosztowały!...

— W 18 wieku, mali książątka i hrabiowie niemieccy, idąc za przykładem „Wielkiego Ludwika" trzymali sobie trabantów, szwajcarów, muszkieterów, gard'es du corps, żandarmów itd.. a nie mając częstokroć środków do opłacania ludzi z tak różnych rodzajów pompy dworskiej, za pośrednictwem zmiany uniformów na tych samych ludziach, pozory tej okazałości królewskiej zachowywali. I tak naprzykład landgraf heski miał tuzin hajduków, kilkunastu wysokich huzarów i strzelców; z rana tworzyli oni w czasie ćwiczeń gwardję i prezentowali się w odpowiednim mundurze; w czasie objadu zaś pojawiali się w liberji przy stole, lub stali jako lokaje za powozami. Książe Karol Eugenjusz Wirtembergski miał jeszcze w r. 1783 dwa regimenty kawalerji, z których pierwszy, — grenadjerów konnych v. Phull'a miał 150 ludzi, a ani jednego konia, drugi zaś, huzarów Bouwinghausen'a, składający się z 250 ludzi, 58 końmi się szczycił. Inne książątko (wejmarskie) trzymało 150 ludzi grenadjerów przybocznych, którzy dla dodania sobie wzrostu obowiązani byli nosić olbrzymie obcasy i podwójnie wysokie bermyce. Nareszcie jeden z książąt utrzymywał kilka dragońskich pułków, bez koni, które obowiązane były wykonywać kawaleryjskie manewry pieszo „wolno jednak było żołnierzom w czasie szarzy rżeć jak konie!...

— Dnia 27 lutego odbyła się w Pekinie wielka ceremonja, ponieważ nowy cesarz, „syn nieba" wstąpił na tron cesarzów chińskich. Wstąpienie na tron „smoka" który w Chinach jest godłem władzy monarszej, należy do uroczystości więcej urzędowych jak religijnych. Gdy już wszystko przygotowano, wielki mistrz ceremonji wziął małego cesarza na ręce, (liczy on dopiero 3 lata) i umieścił go w złotej kolasie, i wraz z nim, otoczony gwardją przyboczną, po nad którą był rozpostarty sławny parasol „smoka" udał się do sali tronowej. Tam zawiadomił naczelnik urzędu astrologicznego, że nadeszła szczęśliwa chwila, w której monarcha wstąpi na tron „państwa wielkiej czystości". Po tem oświadczeniu cesarz wstępuje na tron, obracając się twarzą ku południowi. Kadzidła wznoszą się, muzyka rozbrzmiewa, a każdy z obecnych po dziewięćkroć uderza czołem o ziemię. Odnośną proklamację do narodu wielki mistrz opieczętowuje, aby „wszyscy pod niebem" tj. całe Chiny dowiedziały się o tym szczęśliwym wypadku. Niebo bywa także zawiadomione o wstąpieniu na tron jego syna.

— Rozprzestrzeniona tak dzisiaj moda olbrzymich szynjonów, zachęca nas do podania kilku szczegółów do historji peruk w świecie cywilizowanym. Przed tysiącem ośmiuset laty nosiły damy rzymskie z czasów cesarstwa peruki, sporządzone z włosów dziewic germańskich, i miały do nich taką namiętność, że perły i brylanty wydawały im się niczem obok tej ozdoby. Na długo potem o perukach ślad zaginął. Złoty wiek ich zaczął się dopiero pod Henrykiem III we Francji i doszedł swego zenitu za Ludwika XIV. Podczas trzydziestoletniej wojny zawrzała wojna o peruki w Niderlandach. Jak kilkadziesiąt lat przedtem przeciw krojowi spodni, tak teraz przeciw perukom jęło rzucać gromy z kazalnic duchowieństwo, i od 1640—1644 na wielu synodach w Utrechcie, Geldern, Amsterdamie itd. peruki uznano uroczyście za przeklęte dzieło szatana, okryto je anatemą i zagrożono każdemu duchownemu, któryby w ten przeklęty futerał głowę włożył, zawieszeniem ipso facto w sprawowaniu obowiązków kościelnych i odtrąceniem od łona wspólnej matki duchownej. Uczony Salmasius ogłosił wówczas pismo obejmujące 745 stronnic in quarto o przedmiocie zajmującym tak żywo wszystkie umysły i dał tym sposobem sygnał do sławnej wojny o peruki pomiędzy uniwersytetem utrechckim, otwartym wrogiem tej ozdoby, a lejdeńskim przypuszczającym tolerancję pod tym względem dla mądrych głów profesorskich. Nie tylko już kazalnice ale katedry uniwersyteckie wyszły na harc za i przeciw szatanowi nowej mody, i uczeni mężowie sypnęli na siebie takim gradem najgrubszych broszur polemicznych, że prawdziwą literaturę peruk utworzyć by z nich było można. Do Prus a razem i do całych Niemiec północnych dostały się peruki za czasów Wielkiego Kurfirsta, a mianowicie wskutek małżeństwa jego z księżniczką Oranji. Zaczęto je nosić nietylko pudrowane ale perfumowane, i wkrótce cały dwór berliński paradował w olbrzymich kędzierzawych perukach, spadających do połowy pleców. Mali książątka nawet, a pomiędzy nimi chłopczyk dwuletni, dźwigali takie wieżyce z loków na głowach. Wówczas rektor Joachim stalskiego gimnazjum, niejaki doktor Ranyk, napisał zjadliwy pamflet przeciw temu szaleństwu, czem ściągnął na siebie niełaskę panującego, który zamianował nadwornego perukarza, i bez niego nawet na wojnę nie wyruszał. Za Fryderyka I manja peruk wzrosła jeszcze. Zapłacić za perukę 100 talarów; nie było wówczas nic szczególnego, płacono za nie nieraz po 300 i 400 talarów. Wielka obrzędowa peruka królewska, zadziwiające monstrum, kosztowała u jakiegoś paryskiego mistrza 1000 talarów. Nareszcie dla położenia tamy temu zbyt daleko idącemu zbytkowi nałożono sławne cło na peruki. Każda peruka musiała być opłacona i ostemplowaną. Urzędnicy cłowi mieli prawo zdjąć każdemu na ulicy perukę z głowy, dla przekonania się, czy ma stempel. Paryż był ogniskiem handlu perukarskiego a liczba najznakomitszych mistrzów w tym zawodzie wynosiła w połowie przeszłego wieku, około 800. Dopiero z Fryderykiem Wilhelmem I zaczyna się dekadencja peruk. Zamieniają się one w harbajtel, potem w harcop, aż wreszcie przychodzi wielka rewolucja francuska i ucina swoim wielkim nożem za jednym zamachem stotysięcy głów we Francji a wszystkie harcopy w całej Europie.

Treść Nr. 16.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).